Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 11. Kwietnia 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 15.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

LITERATURA DLA LUDU.*)

Czy lud potrzebuje literatury i w ogóle z książek czerpanej karmi duchowej? — Mimo paradoksalności tego pytania, nie jest ono całkiem zbyteczne. Cokolwiek powiemy, dla wielu jeszcze oświata ludu jest rzeczą wstrętną. Jeżeli znajdują się ludzie, co mimo przekonania, iż dawne stosunki pańszczyzniane nie dałyby się przywrócić, wzdychają do nich tęskliwie, to trudno utrzymywać, że nie ma między nami takich, którzyby naśladowali owego galicyjskiego hrabiego, co to na pomnik dla papieża dał tysiąc reńskich, a na oświatę ludową dziesięć centów zapisał... Zdaje się indywiduom pewnym, iż najłatwiej swe patrymonium utrzymywać nad ciemnymi... Znajduje się także spora gromadka i takich, którzy nie bez słuszności twierdzą, iż piśmiennictwo ludowe o tyle ma rację bytu, o ile lud w szkole nauczy się nie tylko na książce bąkać, ale czytając, rozumieć, kiedy książka jest prostym stylem i umiejętnie napisana. Skoro jednak niepodobna zaprzeczyć, iż pewna część włościan, drobnych oficjalistów wiejskich, rzemieślników, kupców i t. d., znajduje się w stanie niejakiego przygotowania cywilizacyjnego, do przyjęcia wiadomości za pomocą drukowanego słowa, to tem samem i piśmiennictwo ludowe nabywa racji bytu. Zresztą nienależy tu zbytnio teoretyzować lub troszczyć się przypuszczeniami, gdyż spekulacja wydawnicza sama zmiarkuje po odbycie książki, na jaką skalę rozwinąć owo piśmiennictwo ludowe. Raczej ważniejszą jest rzeczą, aby samowiedza wskazywała, co potrzebnego i pożytecznego ludowi produkować, a krytyka pilnie czuwała nad wyróżnieniem rzeczy zdolnie i odpowiednio napisanych. Panuje bowiem chaos zdań i przekonań w kwestji: czego ludowi potrzeba? — Nie dawno Kuryer Lubelski pomieścił na ten temat zabawną rozprawkę. Autor tej rozprawki wychodzi z słusznej, ale błędnie przez siebie stosowanej zasady, iż lud to tylko będzie czytał, co zrozumie i co mu przyjemność sprawia. — Ponieważ jest w szkole licho w sztuce czytania przygotowanym, więc nieodbicie do dalszego kształcenia potrzebuje dobrych elementarzy; a że jedynym dla niego celem nauki czytania, jaki pojmuje i uznaje, jest czytanie w kościele książki do nabożeństwa, więc jedyną potrzebną mu istotnie książką — modlitewnik. Po za tą absolutną potrzebą dla nielicznych jednostek ludowych, stoją i inne książeczki — lecz jakie? Całe piśmiennictwo instrukcyjne, naukowo-popularne jest zbyteczne, bo my ludzie, nieskończenie więcej rozwinięci, naukowi, czyliż czytamy książki naukowe, fachowe, specjalne? Dość, że je mamy w bibliotece, kiedy niekiedy do nich zajrzymy — dość, że je kupujemy i abonujemy. Chłop tem bardziej takich książek instrukcyjnych czytać nie będzie, bo mu przyjemności nie zrobią, bo go znudzą, a już o stosowaniu zawartych tam prawd, nawet mowy być nie może. Na tej zasadzie ten dział piśmiennictwa ludowego przekreśla autor, a natomiast proponuje powieść, a głównie humorystykę; posuwając zaś swe zdanie do krańców, sądzi, że pp Kostrzewski i Szymanowski (rysownik), są jedynymi ludźmi, co oświatę książkową między ludem upowszechnić mogą, posługując się nie piórem, ale ołówkiem... Zdaje się, że obaj humoryści ołówka nie spodziewali się ani takiej roli, ani takiego zaszczytu.

Trudno zaprzeczyć, iż wesoła powiastka zręcznie objaśniona rysunkiem, dla ludu jest pożyteczna, bo poczytna — ale ograniczyć całe piśmiennictwo ludowe do humorystyki, jest błędem, dla tego, że satyra, będąca zawsze na dnie humorystyki, działa dodatnio przez ujemność, a to jest forma najmniej dla ludu właściwa. Jeżeli kto myśli, że wyśmiewaniem wad i zdrożności chłopa, wielce go ucywilizuje, ten chyba się myli; użycie zaś satyry względem innych stanów, nie wiem, czyby było na miejscu, a przedewszystkiem, czyby się podobało propagatorom literatury ludowej. Życie wioskowe, stosunek chłopa do arendarza, do gminnego pisarza, do doradcy pokątnego, mogą być pewno przedmiotem humorystyki, ale tu bardzo umiejętnie i ostrożnie działać trzeba, żeby zamiast pożytku nie przynieść szkody. W ogóle jesteśmy dość przeciwni tendencji w utworach ludowych. Jedyna dopuszczalna zdrowa tendencja, to podniesienie *godności osobistej* ludu w jego własnych oczach. Tym środkiem możnaby więcej na początek zrobić — niż satyrą. Tymczasem tendencyjność jest w naszej literaturze ludowej główną dźwignią i głównem źródłem większości utworów tej gałęzi piśmiennictwa. Pogodzenie chłopa ze szlachcicem, chaty ze dworem, małego właściciela z wielkim, jako wyraz społecznej potrzeby, jest ideą szlachetną, ale szkoda, że jej równomiernie i równolegle nie towarzyszy życie praktyczne. Tam, gdzie duży właściciel z małym, skutkiem logicznego postępowania żyją w zgodzie, tendencja książkowa jest zbyteczną, a gdzie istnieją rozterki, do zgody nie wystarczy. Jeszcze śp. Kurowski, redagując „Kmiotka“ w czasach, kiedy kancelarja dworska jako wójta była polem popisów batoga, rozczulająco propagował zgodę, jak gdyby fakta dały się usunąć kilkoma frazesami na bibule. Nie trzeba zapominać, że mówiąc komu o jego obowiązkach, nie należy przemilczać o jego prawach. Podniesiesienie ludu jest moralną tendencją literatury, jedynie godną pisarzy ludowych. Podniesienie to nie będzie osiągnięte przez jakąkolwiek hegemonję jednej warstwy nad drugą. Wcale to nie jest pożądanem, aby lud swe moralne i materjalne interesa sprawiał przez prokurację, choćby... dworu... choćby plebanji. Im on prędzej za siebie zacznie myśleć, działać — tem lepiej. Społeczeństwo nie składa się z warstw jedna *nad* drugą, ale jedna *obok* drugiej, i gdy tak

*) Podajemy czytelnikom niniejszy artykuł wzięty z pism Warszawskich, jako będący na czasie w obec organizującej się u nas «Macierzy Polskiej;» — podajemy tem chętniej, że myśli w nim zawarte w zupełności podzielamy. *Red.*

jest, bywa to najlepszą gwarancją harmonji. Ideałem wcale nie jest wójt, sędzia pan z panów, ale chłop z chłopów, naturalnie skoro posiada niezbędne warunki. Więc też wcale nie jest pożądanem w utworach literatury ludowej ciągłe poniżanie chłopa, skoro on pełni funkcję wybitniejszego członka społeczeństwa, a podwyższanie klas uprzywilejowanych: pana, księdza i t d. To ciągłe zawracanie ludu do dworu, do plebanji, śmiesznem jest i świadczy, że autorowie z jednej strony nie liczą się ze stosunkami realnemi, a z drugiej, że nie myślą o interesach ludu, ale o interesach innych warstw. Jak jątrzenie stosunków między stanami narodu karygodnem jest, a w literaturze ludowej miejsca mieć nie powinno stanowczo — tak tedencja sielankowa, a ukrywająca na dnie hegemonję dworu, błędną — błędna zaś tendencja wyrządza szkodę, a nie przynosi pożytku. Powtarzamy, nie wywyższanie jednych kosztem drugich, ale podniesienie ludu w jego własnem przekonaniu, powinno być stałym celem literatury ludowej.

Podniesienie to jednak nie nastąpi ani drogą humorystyki lub karcącej satyry, ani powieści, choćby najtendencyjniejszej — ale drogą wiedzy. Ten włada, kto umie. Masa naukowych wiadomości jest kapitałem narodu. Można mieć rozwiniętą sztukę, na wyżynach stać poezji, posiadać błyszczącą beletrystykę, ale być niezdolnym narodem społecznie i politycznie i na odwrót, cieszyć się pod temi ostatniemi względami, nie mając ani sztuki, ani poezji, ani literatury pięknej. Dowodem Anglja, obecna Szwajcarja, Holandja, Norwegja, które stoją społecznie wyżej niż Francja, Włochy, Hiszpanja. Piśmiennictwo powinno przodować kulturze, a nie iść za nią, bo zadaniem piśmiennictwa jest tworzyć ideały, wzory. Dla tego też przekreślać literatury instrukcyjnej, naukowo-popularnej dla ludu — nie można. Owszem, przeciwnie, jesteśmy przekonani że ten kierunek powinien najliczniejszych znaleźć pracowników. Fenomena otaczającej nas natury, sprawy społeczne, zadania życia winny być obrabiane dla ludu w sposób właściwy, jasny, popularny, krótko, a prosto. Nie jest prawdą, aby lud nie czytał, lub się nudził wiadomościami o gwiazdach, albo co się robi, gdy trawa rośnie, lub czy kret jest pożyteczny, a w kasie oszczędności narastają procenta od każdego złożonego grosza. Dziś jest rzeczą dowiedzioną, że postęp tworzy się przez nabycie owej masy wiadomości pozytywnych o przyrodzie i społeczeństwie ludzkiem. — Potęga ludu angielskiego jest w prostym stosunku do tej jego faktycznej wiedzy, którą mu książki dla klas średnich, tanie dzienniki pennowe przynoszą. Rozumowań tam mało, teoretycznych zaciekań prawie nic - ale za to faktów, faktów masa.

Ten kierunek uważamy za najzdrowszy, a książki instrukcyjne za podstawę oświaty ludowej. W ogóle zaś jesteśmy zdania, aby piśmiennictwo dla ludu rozwijało się wszechstronnie, równomiernie, ile starczy nam sił i zdolności. Raczej zgrzeszymy zbytkiem, niż brakiem. Ludu nie trzeba sobie wyobrażać jako starego dzieciaka; lud nie jest dzieckiem, ale starym nieoświeconym człowiekiem, z wadami i przymiotami wyrobionemi. Stopień kultury, na jakim znajdują się jednostki masę ludową składające — różny, więc też i potrzeby umysłowe różne.

Śmiesznym był wiedziony niedawno w prasie naszej spór, czy rodzaj encyklopedji gospodarczo społecznej przystępnie skreślony, potrzebnym jest dla ludu, czy nie? — Jeżeli taka encyklopedyjka w rękach Bartka jest zbyteczną, to dla pana Macieja, ekonoma lub wójta, może być skarbem. Toż samo na odwrót, pięciogroszowa broszuka nie zadowolni p. Macieja, ale oświeci Bartka. Tu nic nie zginie, co ma wartość.

Posuwajmy raczej sprawę żwawo, niech każdy, kto się poczuwa do możności cośkolwiek zrobi — rzeczą spokojnej krytyki osądzić, jak zrobił. Tylko wielką masą, ile można najróżnorodniejszych i najtańszych książek, którą literalnie zasypywać winniśmy lud, możemy obudzić w nim chęć wiedzy i wiedzę upowszechnić, czyli osiągnąć cel ludowego piśmiennictwa.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

O Łowczym, dworze i jego rodzinie słowo powiedzieć należy. Chodził on dzierżawami po wielkich panach, i, mając sam małą wioszczynę dziedziczną, prawie do niej nie zaglądał, bawił się w posesje, spekulował na nich. I choć, oprócz rozmowy wieczorem z ekonomem, a z arędarzem zrana, w administrację się nie wdawał, na pola rzadko wychodził — mówiono, że majątek ogromnie robił.

System Łowczego był nader prosty. Brał zawsze dzierżawy u tych, co potrzebowali pieniędzy, naówczas zaś wielcy panowie, z wyjątkiem Czartoryskich i nie wszystkich Potockich, wszyscy byli w długach i gwałtem za pieniądzmi latali ich plenipotenci.

Łowczy jechał z pieniędzmi na kontrakty i zasiadał.

Natychmiast zjawiali się wielcy przyjaciele, jeden przychodził od Sapiehów, drugi od Lubomirskich, inni od pomniejszych panów, półpanków i ćwierć panów z radą na ucho, aby Łowczy im się przysłużył.

On zawsze naówczas potrzebował dzierżawy, dopożyczał do niej, ale brał je w warunkach takich, że choć ekonomowie kradli, gospodarstwo było liche, w końcu roku zarobek płacił za wszystko. Ludzie dobrze informowani dowodzili, że Łowczy grube mieć musiał kapitały, on sam tylko się do strat przyznawał i stękał.

Szczęśliwy ten człek, który byle miał sąsiada kwestarza, bodaj żyda do gawędy, dobrą piwa szklankę z grzanką i czasem warcaby albo marjasza — już był kontent — syna oddał do wojska (co mu dużo kosztowało) a córkę Basię możeby rad był wyswatać, bo panna już lat dwadzieścia i dwa liczyła — ale jakoś się nie składało.

Sama Łowczyna, gospodyni zawołana, wiecznie zajęta swoją kuchnią i spiżarnią, pięknej tuszy matrona, ubierająca się bardzo skromnie, była w domu pociechą i ozdobą, osią, na której się on obracał. Ona trzymała kasę, ona pisała listy, ona notowała w rejestrach i kalendarzu co notowania było godnem, na jej głowie leżało wszystko.

Pomoc jednak wielką miała z córki panny Barbary, wychowanej w domu, od dzieciństwa w ślady matki wstępującej. Była to też gosposia nie lada, ulubienica ojca, prawa ręka matki, a przytem dziewoja słuszna, piękna, wesoła, rumiana i śmiała tak, że w rozmowie dotrzymała placu, bodaj najwygadańszemu adwokatowi.

Ojciec, mówiąc o niej, stukał się w głowę, matka, ile razy miała wątpliwość, jej ją rozstrzygać kazała, na okolicę słynęła z rozumu. Zdaje się, że i sama o tem wiedziała.

Przy sławie, jaką miał worek ojcowski, przymiotach osobistych panny Barbary, jej niepospolitej piękności, dziwnem się to wydać może, iż do lat dwudziestu i dwu bez czepka dojść mogła. Lecz rodzice nie spieszyli się z wydaniem za mąż, bo i im była potrzebna, a młodzież się nieco wahała posunąć do panny, która obiecywała bardzo energiczną połowicę.

Ona też obchodziła się tak z młodymi jak z ulęgałkami, dawała się zbliżać, brała na spytki, dozwalała się z sobą pośmiać i poumizgać, a gdy przychodziło do konkluzji, zawsze konkurent tchórzył.

Nie psuło jej to humoru, a piękność Basi rozwijała się, rozkwitała coraz bujniej i pokaźniej.

Wiele mając zmartwienia z synem, który w kawalerji narodowej służąc, długi robił, w karty grał, pieniędzy siła tracił; ojciec więcej pono kochał córkę niż pana Kleta (bo imię mu Klet było). Nie potrzebujemy notować nawet, że w Wólce, choć dzierżawa długoletnia była, dworu nowego nie myślał budować Łowczy: mieszczono się w budynku tak niepokaźnym i starym, że strach do niego wnijść było.

Rudera ta w ziemię wpadła, wewnątrz jednak pootykana, poobmazywana, zabezpieczona by nie ciekło i nie wiało, Łowczemu starczyła. Izb kilka było obszernych, a z tyłu alkierzy i komor dla jejmości.

Żyło się jak na popasie, jak w obozie, siedziało i umierało w takich domach po kraju całym, i dopiero w końcu XVIII wieku pomyślano o lepszych dworach.

Tam gdzie najazd tatarski, wojna niespodziana co godzina mogła wygnać do lasu, a nieprzyjaciel palił i niszczył co napadł, szkoda było budować się trwale.

Łowczy krzyknąwszy: Stój! sam już szedł do bryczki.

— Panie Stefanie — wołał — jakeś poczciw! Jacek! urwipołciu jakiś, ani mi się ważcie jechać! Stać! musicie wstąpić, bo tylko co nie widać krupniczku z półgęska...

— Ale bo, strasznie nam pilno, Łowczy dobrodzieju! — zawołał Drobisz. Masłowski się gdzieś zabłąkał, u mnie klucze od owsa, nie będzie komu wydawać obroków.

— Ot to wielkie nieszczęście! Koniom siana zarzucą, odparł Łowczy, a owies potem jeść będą z większym apetytem.

Wahał się pan Stefan jeszcze.

— Zsiadajcie — rady nie ma, u mnie przepustnej nie dostaniecie aż we dworze. Kroć sto tysięcy — co się drożycie — krupnik gotowy!

Bodaj czy się już bardzo Koniuszemu jeść nie chciało, bo zmiękł.

— Nie odchodź że ty mi krokiem od koni, — zawołał do Niczypora, — pojedziemy zaraz.

Zsiadł i Jacek, przyzostawszy za niemi z tyłu jakoś zakłopotany. Tu już rozmowa się zaczęła żwawa, a zaledwie dostali się za bramę, w ganku ujrzeli stojące, w boki się trzymającą Łowczynę, w czepcu na bakier i piękną Basię, która popatrzywszy na idących coś żywo do ucha matce powiedziała. Obie się rozśmiały i uściskały.

Z lewej strony od kuchni, stary Grzegorz pontificaliter niósł w wazie ów krupnik z półgąska, tak, że wcale na wieczerzę czekać nie było potrzeba.

— Panno — moja! zdala wołał Łowczy, — gości prowadzę, którzy się spieszą, dawajcie najprzód piołunówki, bo z polowania jadą i potrzebują rekonfortacji.

Tymczasem witali przybyli, całując w ręce, a gdy Jacek przystąpił nieśmiało do panny Barbary, rumieniec okrył jej piękną twarzyczkę.

— Pan coś o nas zapomniał! — szepnęła mu.

Podniósł na nią oczy, a co niemi odpowiedział, chyba ona jedna zrozumiała.

— Niechże krupnik nie stygnie! chodźmy! — spieszył Łowczy — nie ma poczciwszej rzeczy dla szlacheckiego żołądka, jak gorący krupnik...

Wprost na prawo wprowadzono gości do izby stołowej, w której na prędce już dwa nakrycia dołożono. O krupnik obawy nie było że go starczy, odwiecznym bowiem zwyczajem na dwie osoby najmniej przyczyniano dla tych, których, jak mawiano, Pan Bóg miał zesłać (dla za-górskich panów).

Piołunówkę dobyto z szafy, a sama panna Barbara nalewała. Począł gospodarz, poszło kółkiem.

Gdy miejsca zajęto złożyło się że Jacka przy pannie posadzono. Starsi zajęli się i krupnikiem i rozmową o interesach kodeńskich, które Łowczego obchodziły, bo miał znowu napiętą dzierżawę, a księżna na gwałt biegała za pieniędzmi.

Złożyło się więc tak, iż panna Barbara, jak odosobniona, pozostała na łasce pana Jacka i — nawzajem.

— Ojciec o panu nie mało razy wspominał — odezwała się panna — bo w warcaby nie ma z kim grać; a, prócz tego, zawsze pan u nas miłym gościem.

Znowu oczy podniósł Jacek i odchrząknął, uśmiechnął się, nie mogąc zdobyć na odpowiedź.

Basia nalegając powtórzyła cicho.

— Tłumacz się pan dla czegoś nie był od tak dawna?

— Trudno bo mi się wytłumaczyć — rzekł nareszcie Zadorski — człowiek tak bardzo swej woli nie ma. Strażnik Koronny trzymał za stołem, pisania było ogrom.

— E! jak kto chce — chwilę znajdzie — odpowiedziała panna śmiało.

Jacek boleściwe zwrócił ku niej oczy.

— Tak jest, słowo daję — powtórzyła w uśmiechu białe, śliczne pokazując ząbki. Niech no się pan poprawi...

Jacek podziękował.

Wśród rwącej się rozmowy, bo kilka razy do Zadorskiego się zwracano, przeszła wieczerza, bo po krupniku, pierogi z serem ją zakończyły. Ale była tego misa spora i nikt nie wstał głodny.

Ledwie zjadłszy i otarłszy usta jechać nie wypadało, przeniesiono się więc z izby stołowej, naprzeciw do drugiej podobnej jej rozmiarami, w której oszczędzając światła, na kominie ogień rozpalono. Od drzwi jakoś zaraz panna Barbara zaczepiwszy gościa, poszła z nim ku oknom i na uboczu siadła, dając znak, aby przy niej zabrał miejsce.

Jacek spoglądał na Koniuszego i przypominał rozmowę... Radby był się trzymać od panny zdala, ale ta wcale się nie troszcząc o nikogo, wzięła go w rekwizycją. Opierać się nie było sposobu — a inklinacja też wiodła do pięknej panny, bo Jacek się w niej kochał. Chudy pachołek i serce i usta musiał na uwięzi trzymać.

— Dziś pan jesteś jak zwarzony — szepnęła mu panna.

— Inaczej bo nie może być — rzekł Zadorski. Koniuszy patrzy na mnie, gotów się ze mnie wyśmiać i pleść -- niestworzone rzeczy...

— Co? jakie? — wtrąciła Basia.

— Czyż pani nie miarkuje, że zaraz mnie o niedorzeczne afekty posądzą! — westchnął Jacek.

— Dla czegoż niedorzeczne? — podchwyciła Łowczanka.

— Inaczej by ich nazwać nie można, gdybym ja chudy pachoł, oficjalista, śmiał oczy podnieść...

Basia się rozśmiała wesoło...

Wstydziłbyś się pan — dodała — tak dbać o ludzkie języki. Ja się przyznam panu, że gdyby na mnie powiedzieli, iż na pana dobrem okiem patrzę — nie gniewałabym się za to...

Ruszyła ramionami, a Jacek zapomniawszy się przysunął się do niej, wziął za rękę i pocałował.

— Nie może to być! — zawołał.

Tu już mowę oczy zastąpić musiały, a, dziwna rzecz, choć od komina siedzieli daleko i pod oknem było ciemno, widzieli się jak w biały dzień i rozumieli — jakby więcej wypowiedzieli niż się zdawało.

Wesołą twarz zrobiła panna Barbara.

— Mężczyźnie przystoi być nawet trochę zuchwałym — odezwała się — korona z głowy nie spadnie...

— Ale sercu bieda — rzekł Jacek — gdy w nadzieje zabrnie, a potem je stracić musi.

— A dla czegoż nadziei nie mieć, kiedy — kiedy przeciwnego się nic nie znajduje? — odpowiedziała panna.

Widać było, że jej to co powiedziała zdało się dostatecznem, bo spojrzawszy na Jacka i uśmiechnąwszy się wstała, a on też za nią i ku kominowi się zbliżyli.

Koniuszy, który właśnie opowiadał, jak do kozła chybił, zobaczywszy Jacka, zerwał się szybko.

— A ja tu się durzę! a tam konie stoją! — krzyknął porywając za czapkę.

— Otóż masz! — przerwał Łowczy — a ja na partję warcabów rachowałem.

— Chyba już nie dziś — rzekł Drobisz rzucając okiem na Jacka — musimy na łeb na szyję powracać... Niech Zadorski umyślnie przyjedzie, gdy się tylko Strażnika pozbędzie.

Łowczy go za ręce pochwycił.

— Słowo musisz dać!

— Dawaj słowo! — śmiejąc się powtarzała Łowczyna.

— Słowo pan daj! — dodała Basia zaglądając mu w oczy.

— Nie droż-że się, dawaj i jedźmy! — wtrącił Koniuszy — a nie to Niczypor nas gdzieś w rów wywali i kości połamie...

Koniuszy kłusem pobiegł do swej bryczki ciągnąc za sobą Jacka — a tuż i konie znudzone ruszyły, ledwie siedli, nie słuchając jak Łowczy z bramy, życzył jeszcze dobrej nocy.

— No, już ty mi gadaj co chcesz — zawołał Drobisz zaledwie kilkanaście kroków odjechawszy od wrót. Ja, choć sam amorom dałem za wygranę, ale się na tem znam... Panna się do waszeci ma! Ty to, bratku, tak dobrze wiesz jak i ja; a no filut z ciebie.

— Panie Stefanie dobrodzieju — wyrwało się Jackowi — a miejże litość i serca mi nie psowaj! Co z tego choćby panna do mnie miała afekt, czemu wierzyć nie chcę, goły jestem jak bizun, ni łomu, ni domu — dać jej za mnie nie dadzą... Gdyby się zaś cud stał, parobkiem bym chyba u nich być musiał i na fartuszku siedzieć!

— Hej! harda dusza w ubogiem ciele — przerwał Koniuszy — albo to jeden chudzina się z bogatą ożenił i nie umarł z tego.

— A wy, panie Koniuszy, coście się nigdy żenić nie chcieli, mnie biedaka w to pchacie — rzekł Jacek.

— Jacku, kochanie, ani pcham, ani namawiam — chłodniej odparł stary całując go — mówię co oczy widzą. Ona się w waćpanu zadurzyła, a ty w niej... co dalej myślicie, nie wiem, a no z tem żartów nie ma. Szlacheckie dziecko, amory jak to u nas po dworach bywają, z nią nie uchodzą, bo i ojciec srogi człek i brat zawadjaka...

— A! niech-że mnie Bóg broni!

— Więc ja ci powiem rzecz jedną — szepnął Koniuszy — jeżeli żenić się nie spodziewasz, a biedy ujść chcesz, poproś się z Mierzejewskim do Warszawy, z oczów jej znijdź!

Rada była dobra. Jacek się zamyślił głęboko, wysłuchał, nawet w ramię za nią pocałował, ale nie dał znaku, żeby ją miał przyjąć. (C. d. n.)

---

*

WYSPY ANDAMAŃSKIE.

W zatoce Bengalskiej, liczne wysepki, rozciągające się z północo wschodu, ku południo zachodowi, tworzą łańcuch, pomiędzy stałym lądem Azji a wyspą Sumatrą. Wysepki te, dzielą na trzy grupy: Coco, Andamany i Nicobary

Andamany leżą po środku, i składają się z czterech większych wysp i z pięćdziesięciu mniejszych, razem zaś obejmują około 128 mil kwadratowych angielskich.(*) O tej wyłącznie grupie podajemy kilka ciekawych i zajmujących szczegółów, zaczerpniętych z najnowszych badań i przygód podróżników.

I.

Klimat, grunt, dziewicze lasy, podróż i przygody doktora Kurtza, flora i fauna.

Wyspy Andamańskie, leżące w środku zatoki Bengalskiej, mają klimat zwrotnikowy. W r. 1874 np. średnia temperatura wynosiła 29° C. najniższa była 24,2 — najwyższa 33,7 co daje różnicę 9,4 stopni pomiędzy dniem najgorętszym a najzimniejszą nocą. Od maja do końca listopada panują wiatry południowo zachodnie, sprowadzające ulewne deszcze i gwałtowne burze. W początkach grudnia, ulewy zmniejszają się, wiatr staje się zmiennym, aż wreszcie po kilku uraganach, ustala się północno wschodni. Wtedy następuje czas spokojny.

Kopiąc grunt, znajdujemy piaskowiec i krzemień bądź razem połączone, bądź osobno — pokład zaś ziemny wysp jest diluwialnym. Wzdłuż brzegów, na koralowych ławach osiada namuł i bezustannie powiększa wysepki. Koral znajduje się wszędzie naokoło wysp, w wielkiej obfitości we wszyskich fazach formacji.

Wszędzie aż do samych brzegów morza kraj okryty jest piękną podzwrotnikową roślinnością. Drzewa bardzo do siebie zbliżone, i tak wysokie, że pierwsze gałęzie zaczynają się dopiero na 110 stóp ponad ziemią, mieszając wspólnie ciemnozielone swoje wierzchołki, rozciągają jakby firankę pomiędzy światłem a ciemnością. W tem naturalnem schowaniu, tym cieniu, cieple i wilgoci, młode drzewka rosną z niezmierną szybkością. Co do kwiatów, te, można powiedzieć, że są rzadkie, a nawet, na pierwszy rzut oka, z powodu iż są ukryte wśród liści i gałęzi — że ich nie ma wcale. Znajdują się wszakże na pniach drzew wspaniałe storczyki, a przy ziemi przepyszne lilje białe — lecz trzeba ich dobrze szukać. Trzeba wyjść z lasu i obserwować z wysokiej skały, lub płynąc łodzią wzdłuż brzegu ażeby zachwycić się temi wiecznie zielonemi drzewami i kwiatami o nieskończonej ilości kolorów.

Zadziwiającem jest to bogactwo roślinności gdy się weźmie na uwagę, że pokład ziemi roślinnej jest nadzwyczaj cienki i że się zaraz pod nią spotyka piaskowiec. Nic wszakże naturalniejszego: drzewa, nie mogąc zapuszczać korzeni prostopadle, rozciągają je poziomo, plączą jedne z drugiemi i tym sposobem wzajemnie się wspierają nawet. Lecz niech jakakolwiek przeszkoda zamąci ten naturalny porządek, rzeczy, niech się siekiera wedrze do tego wyniosłego schronienia, natychmiast wicher wywraca z łatwością największe drzewa, reszta zamiera i usycha i wkrótce pozostają tylko krzaki. Gwałtowny bieg wód spowodowany pochyłością gruntu i ulewnemi deszczami, sprawia szybkie naniesienie gruntu. Z drugiej strony koralowe ławy, podnosząc się powoli, dosięgają wysokości, w której deszcz i słońce zabijają koral. Natychmiast wyrastają rhizophory (mangolje), rosnące na wodach słonych. Drzewa te rozszerzają się, na wszystkie boki, krzyżują nieledwie w powietrzu korzenie, których mnóstwo tworzy pożyteczną przeszkodę, wstrzymującą namuł, siatkę która nie pozwala odpływowi morza unosić go z sobą.

W chwili uformowania się pokładu ziemi dość ścisłego i wysokiego, ażeby morze nie mogło go pokryć w godzinach przypływu, mangolje spełniły swe zadanie. Znikają i ustępują miejsca palmom *pandanus* i innym roślinom trzypręcikowym. Później nieco, pojawiają się już drzewa rozmaite, i serja zjawisk przygotowawczych skończona. To znaczy, że ziemia może już być bez wielkich zachodów zajętą przez człowieka pod uprawę. Zresztą nie jest koniecznem czekać, aż natura ukończy swą pracę.

Za pomocą upustów i tam, można już przekształcić bagna z drzewami mangowemi na pola ryżowe, byle grunt był nieco wyższy od poziomu przypływu, i byle podczas odpływu, można było kanałami odprowadzić wodę. Żywe jeszcze w morzu ławy korali, korale martwe, wysunięte nad wodę, korzenie drzew mangowych, pandanusy i inne trzypręcikowe liściaste rośliny rozesłane na płaskim gruncie, oto co wstrzymuje namuły i tworzy wraz z nimi, nowe pasy ziemi przylegające ciągle do brzegów.

Dr. Kurtz, dyrektor ogrodu botanicznego w Kalkucie, studjował nadzwyczaj starannie florę wysp Andamańskich, Nikobarskich, państwa Birmanów i w ogóle Indji zagangesowych. Niestety dzienniki doniosły niedawno o śmierci tego znakomitego uczonego. Obowiązkiem jest przeto, zajmując się temi wyspami, opisać dwie wyprawy, jakie mąż ten odważnie przedsiębrał dla nauki.

W r. 1867 został on wysłany na wyspy Andamańskie. Polecono mu złożyć sprawozdanie dotyczące flory, roślin użytecznych i budulcowego drzewa. Właściciel osady do której przybył, wskazał mu natychmiast kilka punktów lasu które mógł zwiedzić. Lecz doktor Kurtz oświadczył, że te małe wycieczki nie są dlań dostateczne. Zażądał barki, ażeby dotrzeć do najdalszych krańców lasu, i prosił o ludzi Birmanów, gdyż ludność okolic, które miał zwiedzić, była birmańską. Nadto znał on dobrze język Birmanów. Z największym żalem i dopiero po wyczerpaniu wszystkiego co tylko mogło wpłynąć na zaniechanie podobnej myśli — zdecydowano się dostarczyć mu czego tylko żądał, zalecając nadewszystko, ażeby nie ufał Birmanom.

Doktor zabiera z sobą żywność i konserwy na dni 15, strzelby, rewolwery, niezapomina bussoli, i wyrusza pełen nadziei. Na jego rozkaz, kierują się ku południowi. W drodze, rozmawia z wioślarzami, objaśnia im, jak prawdziwy mędrzec, któryby wyrzucał sobie utratę sposobności nauczania, użytek bussoli, pokazuje im jak należy jej użyć chcąc np. dostać się do Birmanji lub Kalkuty. Słuchają go uważnie, a nawet proszą o powtórzenie wykładu. Gdy skończył, oświadczają wszyscy że doskonale zrozumieli, i nie ma ani jednego Birmana, któryby nie wyrażał swego zadowolenia.

Wpływano właśnie do małej przystani, gdzie podróżnik, zachęcony łatwością wylądowania, i piaszczystym wybrzeżem, zapragnął wysiąść na brzeg.

Wysiada zatem. Nagle, dwoje silnych ramion chwyta go z tyłu. Przywiązują go do drzewa, kładą mu w usta mały biszkopcik i przepraszają za przerwany spacer, czegoby nigdy nie uczynili, gdyby nie gwałtowna chęć, powstała wśród osady statku — chęć zobaczenia ojczyzny Birmanji. Następnie wysadzają na ląd kucharza, człowieka wolnego, pozostawiają doktorowi wystrzelony rewolwer — lecz nie bussolę — i odjeżdżają kierując się doskonale, dzięki nauce udzielonej im przed chwilą przez doktora.

Nieszczęśliwy doktor Kurtz, został odszukany i odwiązany dopiero po upływie 13tu godzin. Dostał on silnego napadu febry, i nie upierał się już, ma się rozumieć, przy zamiarze herboryzacji. Powrócił na najpierwszym statku do Kalkutty, nie spełniwszy poruczonej mu misji, i nie otrzymawszy prawie żadnych rezultatów.

Wyspy jednak były ciągle przedmiotem jego najżywszej ciekawości.

W miesiącu styczniu 1875 r., przedsięwziął nową wyprawę i pojechał na wyspy Nikobarskie. Podobnie jak w pierwszej podróży, doznał początkowo jak najlepszego przyjęcia. Otrzymał nietylko konia, ale i słonia nawet, i odbywał co dzień nowe wycieczki. Lecz i tym razem miłość nauki czyni go nieroztropnym. Żąda przepędzić ostatnie dnie podróży na samem łonie tej dzikiej natury dotąd nieznanej. Zamierza z liczną służbą i silną eskortą rozłożyć się taborem na wielkich płaszczyznach. Ostrzegają go, że tym razem niebezpieczeństwo grozi mu nie od tych, którzy go otaczają, lecz ze strony samej natury.

W trzynaście dni poźniej odprowadzono go, a raczej odniesiono umierającego, i przekonano go własnem nieszczęściem, że nie wolno jest żartować sobie z febry wysp Nikobarskich. Nie umarł zaraz, lecz zdrowie jego, i tak delikatne, zostało ostatecznie zrujnowane. Gasł wolno — ofiara wierności dla nauki. Drogocenne spostrzeżenia, jakie zebrał w ciągu tej podróży, zawarte zostały w rapporcie, wydrukowanym staraniem rządu indyjskiego w „Proceedings of the Asiatic Society of Bengal“.

Kompletne odosobnienie, w jakiem wyspy Andamańskie pozostają, nadaje szczególny interes ich faunie. Znajdują się tam tylko dwa gatunki wielkich zwierząt ssących, jeden rodzaj dzika, i jeden dzikiego kota. Szczury, jakie się tam spotyka, przywiezione zostały, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na okrętach. Znajdują się tam również nietoperze rozmaitych gatunków i wielkości.

Co do ptaków, tych naliczono ze stodwadzieścia gatunków. Wzdłuż brzegów, widzieć się dają rodzaj jaskółek morskich i wielkie morskie orły. Na drzewach wybrzeży, zimorodki o przepysznych barwach czatują na zdobycz. W lasach grucha sześć gatunków gołębi; a cztery rodzaje papug, spotykanych na każdym kroku, wydają przenikliwe i nieprzyjemne krzyki. Chowają się tak dobrze i tak są trudne do podejścia, że upłynęło 18 lat, zanim zdolano zabić pierwszą wielkiego gatunku sowę.

Pułkownik Tytler, który pierwszy opisał ptaki tych wysp, raz tylko widział podobny gatunek, i to żeby zabić sowę, trzeba było wypadku, że ptak odleciał od lasu i oślepiony świa-

(*) Mila angielska = 1609 metrom.

tłem dziennem, ukrył się pod szopą. Prócz tego znajduje się na wyspach Andamańskich tylko jeden gatunek wron, które lękliwe z początku, tak się następnie oswoiły, że gnieżdżą się teraz przy samych mieszkaniach ludzkich z impertynencką śmiałością.

Wężów jadowitych na wyspach znajduje się wiele gatunków, jednakże od lat dziesięciu nie było z tego powodu ani jednego wypadku śmierci. Na pniach drzew, uwija się mnóstwo jaszczurek rozmaitych kolorów i kształtów. Naliczono także po kilkaset gatunków owadów i motyli, lecz rachunek tu ściślejszym być nie mógł.

Z tego widzimy, że fauna suchego lądu jest dość ubogą — morska za to, przedstawia nieopisane bogactwa.

Wzdłuż brzegów, napotykają się rekiny i wieloryby, a na około wysp mnoży się nieprzebrana ilość ryb, o dziwacznych nieledwie fantastycznych kształtach. Muszli i skorupiaków mnóstwo. Są pomiędzy niemi ostrygi i ślimaki jadalne. Wśród skorupiaków odznacza się wielki rak zielony, bez kleszczy. Na płaszczyznach roi się od tych skorupiaków; wychodzą one w nocy na żer dość daleko od brzegów, a gdy przestraszone zaczną uciekać, to stanowią tak wielką i zbitą masę, że cała płaszczyzna zdaje się poruszać. Na nieszczęście mięso ich nie jest jadalnem nawet dla dzikich, którzy wcale wybrednymi nie są.

II.

Wyspy przed przybyciem europejczyków. Legendy. Mieszkańcy rasy murzyńskiej. Kioekkenmoedding. Życie dzikich. Polowanie. Rybołostwo. Broń. Narzędzia rozmaite.

Dawniej, marynarze, tylko z największym strachem zbliżali się do tych wysp niewinnych, na których nie było żadnej latarni morskiej i których rafy sięgały daleko w morze. Utrzymywano, że na tych wybrzeżach straszliwe potwory i ludożercy oczekiwali każdego, kogo los rzucił na złowrogą ziemię. Że mieszkańcy tych miejsc są dzikimi — to nie ulega żadnej wątpliwości — lecz ażeby byli ludożercami, tego nikt jeszcze nie dowiódł. Mieszkańcy wysp Andamańskich są rasy murzyńskiej — zupełnie czarni, z kręconemi włosami. Człowiek dorosły dochodzi najwyżej 56 do 59 cali. Ten lud pigmejczyków był panem wysp aż do przybycia europejczyków. Ile razy okręt został na brzeg wyrzucony, lub przypadkiem zmuszony, wylądował — nie oszczędzano nikogo. Dzicy mordowali bez litości całą osadę.

W r. 1848 dwa okręty przewozowe angielskie, mające na pokładach po bataljonie jednego pułku, rozbiły się tej samej nocy, na wybrzeżach jednej i tej samej wyspy. Rzecz dziwna! Dwa te oddziały jednego pułku, które w tej chwili połączył wypadek — niewidziały się z sobą już od lat trzydziestu. Jeden z tych okrętów opuścił Oceanję, płynąc do Indo-Chin; a drugi przybywał z Anglii i płynął do Kalkutty. Położenie było krytyczne. Nie można było uratować amunicji. Okręty były gwałtownie pędzone burzą na koralowe ławy.

Lecz jakież jeszcze nowe przejścia czekały rozbitków? Pierwszej zaraz nocy—są to ich własne słowa — zostali napadnięci przez dzikie pokolenia, uzbrojone w łuki i strzały. Wielu żołnierzy zabitych, innych napada febra, za pożywienie służą im tylko ryby i skorupiaki. Zrozpaczeni — postanawiają spróbować ostatniego ratunku. Pozostała barka, na której najodważniejsi z narażeniem życia udają się o pomoc do Birmanów. Szczęściem, barkę zabrał spotkany okręt. Przybywają do Birmanów, i w dziesięć dni potem, nieszczęśliwi pozostali na wyspach Andamańskich, zostają uwolnieni z niewoli. Do dziś dnia pokazują jeszcze resztki okrętów jako pamiątkę tego smutnego zdarzenia. Inne opowiadanie: W r. 1868, spostrzeżono wpływającą do portu kolonji *) barkę sterowaną przez Anglika ze złamanem ramieniem. Opowiedział on co następuje: „Byłem sternikiem na okręcie indyjskim, płynącym do Penang, i musiałem szukać schronienia na wybrzeżu wysp Andamańskich, ponieważ statek przepuszczał wodę. Kobiety wylądowały najpierwsze; osada i inni pasażerowie mieli udać się za niemi, gdy nagle pojawili się dzicy, i zaczęli wypuszczać swoje straszliwe strzały na bezbronne kobiety znajdujące się na brzegu. Mnóstwo z nich padło. Pospieszono zabrać te, które jeszcze pozostały. Co do mnie, pomimo złamanego ramienia, pomimo złego stanu statku, zaproponowałem udanie się o pomoc do kolonji, nie tracąc wszakże wyspy z oczu. Propozycja moja została przyjętą — i oto jestem wśród was, z kilkoma majtkami indyskimi, i błagam o jak najszybszy ratunek dla pozostałych na okręcie."

Wkrótce statek parowy przywiózł uratowanych do kolonji. Lecz iluż to innych rozbitków musiało zginąć na tych niegościnnych wybrzeżach! Szczątki okrętów i żelaza, znajdowane w opuszczonych przez dzikich obozowiskach, najlepszym są tego dowodem.

Mieszkańcy tych wysp są właśnie w epoce *Kioekkenmoedding*. Obozują zawsze nad jaką bieżącą wodą, ukryci za pagórkiem albo skałą. Banda, złożona z około 50 osób, przybywszy do miejsca, gdzie ma obozować, przywiązuje barki do drzew mangowych. Następnie zabierają i przenoszą na ląd potrzebne naczynia, łuki, strzały, koszyki, maty, kociołki i t. p. przyczem starannie zachowują ogień.

Kilka wielkich palmowych liści związanych razem i opartych na trzech kijach, oto ich chata. Teraz zaczyna się praca. Jeżeli noc jest księżycowa, młode chłopaki udają się w okolice szukać żółwiów. Starają się stąpać jak najciszej, a że nie noszą ubrania, więc dla zabezpieczenia od much i mastyków ciała, a zwłaszcza twarzy, nacierają się od czasu do czasu ziemią. Starsi, jedni pozostają siedząc przy ognisku, inni rozrzucają się wzdłuż brzegu. Jeżli daje się słyszeć krzyk głuchy i przeciągły, wszyscy są na nogach; to znaczy, że chłopakom udało się przewrócić żółwia na grzbiet. Przywiązują mu trzcinę wzdłuż ciała i ciągną do ognia. Natychmiast go też ćwiartują i pieką, gdyż żadne mięso nie konserwuje się tam wkrótce po wschodzie słońca. Następnie, upieczone kawały, układają nie bez porządku jedne na drugie, przekładając je palmowemi liśćmi. Potem gaszą ogień i nie czekając aż księżyc zajdzie, wszyscy chłopcy powracają do obozowiska.

Psy zaczynają szczekać, kto idzie? poznają się, i budzą tych co zasnęli. Wtedy wszyscy obsiadają ognisko, jedzą i gawędząc oczekują końca rozkosznej podzwrotnikowej nocy.

Nie spodziewajmy się znaleść ich, zwiedzając rano ich obozowisko. Zniknęli, jak rosa przy pierwszych promieniach słońca. Mężczyźni są w lesie, zajęci z chudemi, zgłodniałemi psami, polowaniem na dziki. Mali i zręczni, pełzają raczej niż chodzą. Wynaleźli nawet sposób, który im pozwala nie czuć tak dalece ukłucia kolców. Robią sobie oni mnóstwo nacięć na skórze jedne przy drugich, które gojąc się, czynią ją twardą i niełatwą do rozdarcia. Gdy dzik zostanie zabity, ciągną go do najbliższego strumienia. Dawszy psom odprawę, myją go, napełniają ziołami i liśćmi i zawieszają nareście dzika na drzewie, tak wysoko, ażeby psy dostać go nie mogły. To uczyniwszy, zbrojni w łuki i strzały, udają się w dalszy pochód.

Podczas gdy mężczyźni polowali, młode dziewczęta nie pozostały bezczynnemi. Przetrząsają one, po odpływie morza, koralowe ławy. Łowią ryby w więcierze i przyczyniają się tym sposobem do wyżywienia bandy. Zwyczajem jest, że dziewczęta oddzielone są od chłopców. Obowiązkiem tych ostatnich jest iść do lasu i zbierać drwa, oraz miód jeśli gdzie dostrzeżono pszczoły.

Tym sposobem przy namiotach pozostają jedynie starcy, matki z małemi dziećmi, chorzy i ci z młodych chopców co się zmęczyli w nocy polowaniem na żółwie.

Żyją z dnia na dzień. Łuk i strzały to jedyna broń im znana; od dziesiątego roku życia chłopcy wprawiają się już do strzelania z malutkich łuków i wkrótce dochodzą do wielkiej zręczności. Dawniej, do fabrykacji łuków, dzicy używali jedynie giętkich korzeni mangowego drzewa — dziś przenoszą żelazo, w które łatwiej im zaopatrywać się w pobliskiej kolonji: lecz że go kuć nie umieją, więc biją je kamieniami rozgrzawszy wprzódy, i tym sposobem przygotowują sobie końce strzał i noże, które następnie ostrzą. Dwadzieścia lat temu, do wyrobu noży, siekier i t. p., mieli tylko rodzaj kwarcu, który dziś jeszcze znaleść można tu i ówdzie w zaostrzonym kształcie. W jednym z Kioekkenmoeddingów, znalazłem w głębokości pięciu stóp, dwa kły dzika, które służyły za ostrza do strzał.

Ziemia, wypalana na słońcu — nie umieją wypalać jej w ogniu — dostarcza im naczyń kuchennych, które wszakże bardzo łatwo się tłuką. Naczynia te, ozdobione są linjami, rysowanemi na miękkiej jeszcze glinie, co dowodzi pewnej dbałości przy tej fabrykacji. Widziałem w Kioekkenmoeddingach, szczęki dzików przebite — sądziłem przeto, że nie zawsze używają naczyń, lecz że najczęściej pieką całe zwierzę zawiesiwszy je nad ogniem. Żółwie idą na ogień zwykle w całej skorupie.

Dzicy, po krótkim pobycie w jednej okolicy, zmuszeni są szukać nowego miejsca na obozowisko. Pozostałe resztki mięsa przy kościach psują się — trzeba je wyrzucić i ruszać dalej, tam gdzie się jeszcze nie żyło i nie polowało.

III.

Różne pokolenia. Wierzenia. Mytologja. Stopnie zdolności i inteligencja dzikich. Zabawy. Charakter. Małżeństwo i pogrzeby. Sąsiedztwo Anglików.

Ludność, która istnienie swe winna rybołowstwu i polowaniu, która nie używając soli, nie jest w stanie zrobić sobie najmniejszych zapasów, nie może rozwijać się jak tylko fizycznie.

*) Kolonja karna, do której zsyłają przestępców. Ten system karny, zniesiony w samej Anglji, pozostał dotąd w Indjach angielskich. Kolonja taka jest w Port-Blair w południowych Andamanach.

Nic łatwiejszego jak to zauważać. Chłopcy, nawet bardzo mali, wbornie pływają. Igrają na rafach jak gdyby u siebie w domu. Biegają tak szybko jak dzikie koty, przez las dziewiczy. Mają przenikliwy wzrok orła, a chodzą tak cicho jak dzikie zwierzęta.

Na wyspach Andamańskich żyje ośm różnych pokoleń. Każde ma swój język oddzielny. Północnego Andamańczyka nie zrozumieją nic a nic na południu. Zdaje się jednakże, że wszystkie te pokolenia początek mają wspólny — zwłaszcza też dwa pierwsze.

Oto ich nazwy:

1. *Bojingijida,* żyje na południowej wyspie Andaman, tam gdzie się dziś znajduje wielka kolonja karna Angielska Port-Blair.
2. *Bojigiab,* żyjące w południowej części wyspy środkowej.
3. *Akahol,* na tej samej wyspie od strony wschodniej.
4. *Awkojuwai* od strony zachodniej.
5. *Balawe.* Na małych wyspach na wschód wielkich.
6. *Akacharios.* Na północnej części północnej wyspy Andaman.
7. *Akjaro.* Na południowej części tejże wyspy.
8. *Jarawa,* żyjące na małych Andamanach.

Dotychczas, to ostatnie pokolenie, znanem jest tylko z nazwiska. Inne, z wyjątkiem pierwszego nie skorzystały jeszcze z sąsiedztwa Europejczyków. To tylko wiadomo, że powoli uczą się użytkować z ognia, i że psy, tak pożyteczne na tych wyspach bardzo się rozmnażają.

Życie intelektualne tych dzikich, znajduje się na najniższym stopniu, jaki sobie tylko u ludzkiej istoty wyobrazić można.

Nie żywią oni żadnej nadziei lepszej przyszłości, i nie mają najmniejszego poczucia duszy nieśmiertelnej.

Noc głęboka napełnia ich trwogą, gdyż widzą się zagrożeni niebezpieczeństwem, bez pociechy religijnej, która nas podtrzymuje, i bez nadziei, która nas podnosi. Pojęcia wyższego o Bogu nie mają. Wszakże, w ich umyśle, opowieściach, w ich obyczajach, są pewne ślady mitologii. *Puluga* jest to duch, mieszkający w obłokach. Stworzył on wszystkie rzeczy i rządzi niemi. Nie urodził się, istnieje od wieków, i umrzeć nie może. Mieszka w domu z granitu i jest niewidzialny. On daje deszcz i rzuca pioruny. On równie zsyła śmierć naturalną.

Jego małżonką jest *Tjana-Palok,* matka ryba, która napełnia morze rybami, rzucanemi z nieba. *Puluga* jest reprezentantem dobrego — reprezentantami złego są: *Eremtja - Ugala* na ziemi, a *Jaruwinda* na morzu.

Suratut jest mały ptaszek, bardzo szanowany. To przyjaciel człowieka — przyniósł ogień pierwszej kobiecie.

Tjana-Elevadi matka — rak — to praprababka Andamanów. Wyszła ona ciężarna z morza, wysiadła na brzegu Duralang i tam wydała na świat jednego dnia, dwa razy tyle dzieci, ile jest pokoleń. Poźniej dzieci te rozdzieliły się i poszły parami zaludniać wyspy. Dzieci i wnuki *Tjany-Elevady* nazywają się *Taomoda* — to dobre duchy, mieszkające w lasach i sprzyjające człowiekowi. Umarli uważani są także są za duchów — *Isa-Ugada,* lecz nie posiadają żadnej władzy nadnaturalnej.

Jakkolwiek wypadało nam wskazać te wierzenia, nie należy wszelako przywiązywać wielkiej wagi do tych śladów mitologicznych. Nie mają idei o Bogu najwyższym. Opowiadania przytoczone zachowały się jako tradycja, jako poezja. Wszakże nie można znów powiedzieć, ażeby nie byli zdolni do innych wyobrażeń, do stopniowego przyswojenia sobie pojęć wyższych,

Na poparcie tego ostatniego przypuszczenia, przytoczę przykład dwóch młodych chłopców Andamańskich, którzy żyli czas pewien w moim domu. W r. 1873 okręt wojenny posłany został do małych Andamanów, na jedną z najbardziej południowych wysp, dla ukarania dzikich. Zamordowali oni wśród największych męczarni osadę statku powracającego z Birmy. Stoczono tylko małą utarczkę, lecz Anglicy dostali jednego niewolnika. Był to chłopak dorastający, którego rząd chciał użyć jako posła pokoju do współbraci. Powierzono go mnie.

Powinienem był jednocześnie uczyć się jego języka i pozyskać jego przyjaźń. Nie było to łatwem. Młody dziki, dotąd wolny, jak ptak, lękał się cudzego wpływu nad sobą. Chodził tam i napówrót po izbie, jak lew w klatce. Miał on jedną mysl tylko — uciec — jedno pragnienie — zobaczyć swoją wyspę i pokolenie swoje. Dom mój stał na wybrzeżu, a wyniesiony na 1080 stóp nad powierzchnią morza, dawał widok na obszar niezmierzony. Widać było na wschód i na zachód wyspy sąsiadujące z naszą. Niewolnik przepędzał długie godziny siedząc, prawie nieruchomy, starając się rozpoznać miejsce swego urodzenia, swój las, swoje wybrzeża. Pewnego dnia zadecydował, że mała płaszczyzna, dająca się zaledwie odróżnić na horyzoncie — to była jego ojczyzna. Nie mogliśmy do siebie mówić — lecz są myśli i uczucia, których nie trzeba wyrażać, ażeby były zrozumiałemi. Ponieważ miał zamiar uciec, więc przewidywał niebezpieczeństwa podróży i myśleć musiał o środkach obrony. Był on wolny w całym domu. Jednego wieczora zauważałem, że chłopak mój w pasie jest jakby trochę nabrzmiały. Zapytuję go i pokazuje się, że ukrył on tam ostrza żelazne, które zabral wlazłszy przez okno z mojego pokoju, gdzie chowam łuki, strzały itp. rzadkości. Rozkazuję mu oddać to wszystko, a młody niewolnik uniewinnia się i wzdycha głęboko.

Zdawał się nie mieć do mnie żadnej sympatji, ograniczając się tylko na tem, że w obecności mojej zachowywał się nadzwyczaj spokojnie. Lecz gdy mnie nie było, zbliżał się często do pani Roepstorff, głaskał ją po twarzy i uśmiechał się do niej, jak gdyby potrzebował kobiecej litości. Miłości matki — oto czego mu brakowało.

Usiłowałem wszelkiemi sposobami zjednać sobie jego przychylność. Objaśniałem mu wszystko, co nas otaczało. Naprózno. Bez najmniejszej przyjemności jadł potrawy, które mu podawano. Szczególniej jednak nienawidził wołowiny i niepodobna go było zmusić, ażeby zjadł jej kawałek. Zdawało mu się, choć się nie przyznawał, że to jest ciało ludzkie, i że ja przyjmilam się doń dlatego, ażeby go utuczyć, a następnie zabić i zjeść.

Pewnego dnia Józef — takeśmy go przezwali — zobaczywszy na moim stole pieczoną kaczkę, nagle przestał być obojętnym i zażądał, ażeby mu ją dano. Zabrałem się zaraz do krajania i ofiarowałem mu pierwszy lepszy kawałek. Na to oświadcza, że nie weźmie tylko pierś. Wcale nie głupio. Zrozumiałem, że musiał jeść ptaki, i byłem zdziwiony, gdyż utrzymywano, że murzyni wysp Andamańskich nigdy ptaków na pożywienie nie zabijają.

Postanowiłem, ażeby go rozerwać, pójść z nim na polowanie. Zabrał łuk i strzały. Po drodze widzimy ptaka, kołyszącego się na gałęzi nad naszemi głowami. Wypuszczam strzałę i chybiam. Zachęcam Józefa, ażeby i on spróbował swojej zręczności. Napiął łuk i puścił strzałę z taką siłą, że uwięzła głęboko w gałęzi drzewa, na której ptak siedział, o sto stóp po nad nami. Ten mały wypadeczek dał mi wiele do myślenia. Nie czułem się bardzo bezpiecznym, gdy Józef był uzbrojonym, i uważałem za stosowne, nie dostarczać mu więcej podobnych rozrywek.

Widziałem go przy innej sposobności, gdy mu podano wodę w naczyniu, że ją chłeptał językiem w sposób opisany w starym testamencie, w historji Gedeona, księga sędziów VII. 5. Zdziwiło mnie to bardzo. Nie widziałem nigdy, żeby człowiek tak czynił.

Często oddalał się i próbował uciekać — bliskość lasu była dla niego zbyt silną pokusą. Poznałem go dostatecznie i odstąpiłem od zamiaru trzymania go w moim domu. Oddałem go do szkoły, założonej umyślnie w celu wychowywania sierot Andamańskich. Umarł tam. Lekarz mi rzekł: „Wierzyłem i utrzymywałem, że się nie umiera ze zmartwienia; przyznaję, żem się omylił.“ Biedny Józef! Widzę dziś jeszcze, gdy to piszę, jego wielkie smutne oczy! Serce mi się ściska, gdy przypominam sobie to żywe uosobienie zgryzoty i rozpaczy.

W kilka miesięcy po jego śmierci, odniosłem się do rządu, ażeby mi dano na wychowanie inne dziecko Andamańskie — sierotę. Chciałem koniecznie nauczyć się mowy tych dzikich. Pewnego poranku przyprowadzono mi maleńkiego chłopczyka, chorobliwej cery, bardzo brzydkiego i bardzo brudnego. Nazwaliśmy go Józefem, na pamiątkę tamtego dziecka, biednego zmarłego więźnia. Nowy nasz przybysz, prawie ciągle płakał. Ciągle był głodny, ciągle wołał jeść i pożerał wszystko cośmy mu dawali. Przestraszyłem się widząc go wiecznie nienasyconym i poradziłem się lekarza. Ten doświadczony człowiek orzekł, że dziecko musiało być zagłodzone od chwili pobytu w kolonji, lecz że głód ten, wkrótce się zaspokoi. Miał rację, obfite i regularne pożywienie, sprowadziło wkrótce pożądaną zmianę.

Gdy do nas przybyło, dziecię mogło, mieć lat ośm. Rodzice jego umarli. Nieumiało ono nawet mowy swego pokolenia — co mnie zupełnie rozczarowało. Żywione w kolonji karnej przez deportowanych Hindusów nauczyło się ich języka. Malec palił i żuł tytoń namiętnie. Ciągle się oń upominał i zaraz płakał gdy mu go nie dawano. Doktor radził mi, ażeby mu nie odmawiać lecz coraz zmniejszać dozy—co też uczyniłem.

W szkole nauczył się po angielsku i u nas mówił tylko tym językiem. lecz z Indusami, rozmawiał zawsze po Indostańsku.

Współrodacy jego lubią bardzo wodę, pływają jak ryby i kąpią się z rozkoszą. Pod tym względem nasz Józef nic nie był do nich podobny. Każdego poranku, gdy go kąpano w jeziorze — był płacz i zgrzytanie zębów. Po roku, rezultat godny uwagi — zmiana była zupełną. Józef był grzeczny, umiał być użytecznym, i mieliśmy zeń wyśmienitego służącego.

Nauczył się czytać, pisać i rachować. Szczególniej posiadał zdolności językowe. W domu, rozmawiałem z panią Roepstorff po duńsku. Słuchał, zdawało się nam, nierozumiejąc. Nieprawda! przekonaliśmy się, że nie tylko rozumiał wszystko cośmy mówili, ale sam nawat nauczył się po duńsku tyle słów, ażeby i jego zrozumiano gdy mówił

Oddalając się od nas, po upływie lat czterech, był równie inteligentnym jak inni chłopcy hinduscy i Anglicy wychowywani w kolonji. Nie było w nim już charakteru dzikiego, a więc dzikość nie była mu wrodzoną. Jestem przekonany, że przy dalszej edukacji, stałby się człowiekiem zręcznym i wykształconym. Jestem przekonany, że to nie z braku zdolności umysłowych, współrodacy jego pogrążeni są w nędzy moralnej i zdają się nie czynić żadnego postępu, lecz że tylko ciężka i twarda codzienna walka o pożywienie, pochłania całe ich myśli i zdolności.

Życie ich upływa bez uroczystości i bez nieprzewidzianych zdarzeń, lecz nie bez przyjemności. Polują n. p. tak z potrzeby jak i z upodobania.

Podczas suchej pory roku, od czasu do czasu, porządkują swoje namioty, oczyszczają narzędzia i w ogóle zaprowadzają ład w obozowisku. Następnie zgromadzają się w wielkiej liczbie, śpiewają i tańczą. Chłopiec bije nogą dla oznaczenia taktu w drewniane koryto, rodzaj pustego cebra. Reszta chłopców, powtarza w około niego spiew monotonny. Podczas gdy chłopaki spiewają i biją w dłonie stosownie do taktu drewnianego bębna, zgromadzone dziewczęta, posuwają się tańcząc ku śpiewającym, z twarzą zwróconą w ich stronę, z założonemi rękami i wyciągniętemi ramionami. Od czasu do czasu dzielą się i tworzą nowe grupy. Doszedłszy do bębna, każda tancerka powraca na swoje miejsce i napowrót rozpoczyna taniec. Powtarza się to całemi godzinami. Gdy dziewczęta się zmęczą — siadają i zaczynają spiewać zamiast chłopaków, którzy z kolei znów tańczą. Starcy, żonaci mężczyźni i kobiety zamężne, przypatrują się tylko zabawie, sporządzając łuki i strzały, lub bawiąc się z małemi dziećmi. Tańczący przy tem żartują i zamieniają uwagi często dowcipe i złośliwe.

Na pogrzeby również się zgromadzają. Rodzice posypują ciało popiołem i nie tańczą, lecz w około nich wszyscy inni tańczą bardzo długo. Potem dopiero grzebią trupa. Po kilku miesiącach odkopują go. Z kości nóg i rąk wyrabiają bransolety, które obowiązani nosić rodzice. Czaszka oczyszczona i pomalowana na czerwono, przechowywaną bywa jako relikwie i jako ozdoba przez najbliższego krewnego. Matka nosi czaszkę dziecka, a dziecko czaszkę matki. Zdaje się że zachowując ten zwyczaj, dzicy chcą wyrazić głębokie przywiązanie do wszystkiego, co sięga po za granice doszesnego życia. Małżeństwa zawierają bez wszelkich ceremonij — młodzi małżonkowie znikają na pewien czas w lesie — i koniec. Małżeństwo dla interesu nie istnieje na wyspach — bowiem murzyni nie posiadają dóbr ziemskich i nie gromadzą nic w spichlerzu.

Jeżeli powstanie sprzeczka, co się nie rzadko trafia pomiędzy dzikimi, gwałtownego i podejrzliwego charakteru, — można usłyszeć strzałę świszczącą nad głową obrażającego. Przytomni jednak sprzeczce, nauczeni doświadczeniem, jak najprędzej usuwają wszelką broń z pola kłótni.

Założenie przez rząd angielski kolonii karnej w Port Blair, wskutek wielkiego powstania indyjskiego z lat 1857—1858, wywarło wielki wpływ na życie mieszkańców wysp Andamańskich. Pozbawiono ich wielkich przestrzeni, na których nie mogą już polować — lecz ileż w zamian dla nich uczyniono!

Rząd angielski zaopatruje ich w ryż, owoce, żelazo i tytoń. Deportowani dostarczają im psów do polowania. Mogą, mając żelazo, wyrabiać sobie najniezbędniejsze narzędzia. Ale przedewszystkiem pożądają tytoniu — odkąd go poznali — nie mogą się obejść bez niego.

Pomimo to wszystko, nikt z europejczyków nie potrafił dotąd nauczyć się ich mowy, tak, ażeby ją mógł wykładać. Ostatnim, który się temu poświęcał był M. Homphrej. Czy był szczęśliwszym?

Spodziewamy się i oczekujemy prac jakie ma ogłosić. Dotychczas na tem polu mamy zaledwo kilka próbek. Porucznik Colebrook, zwiedziwszy wyspy w r. 1788—1789, pierwszy ogłosił drukiem w *Asiatic Researches* listę wyrazów których dziś sami dzicy nie rozumieją. Pułkownik Tichel i dr. Dobson podali inne spisy, które także nie są ścisłe. To samo można powiedzieć o mojej książce wydanej w r. 1875. Dopiero praca pułkownika Temple ogłoszona w Kalkucie w r. 1877, jest prawdziwie naukową. Teraz oczekujemy dzieła dr. Jagor'a. Ten śmiały i niezmordowany uczony przepędził dłuższy czas wśród dzikich. Zawsze dawał on dowody przenikliwości i ścisłości największej — będziemy więc mieli o Andamanach wiadomości pewne — gdy nam opisze trzyletnią podróż po Indjach, którą w tych czasach ukończył.

F. A. de Roëpstorff.

LISTY T. T. JEŻA.

Gazette des Beaux-Arts. Ciekawość. Piotr Vaneau. Pomnik Jana III. Opis pomnika przez pana M. Vachon. Wartość artystyczna utworu. Bitwa pod Wiedniem. Historja dzieła. Rozprzedaż z targu publicznego. Pokawałkowanie. Życzenie p. Vachon. Życzenie nasze. Uwag kilka. Nieprawdopodobieństwo podania.

Wychodzi w Paryżu przegląd miesięczny p. t. „Gazette des Beaux-Arts", podtytuł którego brzmi: „Kurjer europejski sztuki i ciekawości." W kurjerze tym ciekawości znajduje się rzecz istotnie ciekawa, dla tych zwłaszcza, których obchodzą przedmioty sztuki, będące oraz pamiętnikami, mającemi styczność z przeszłością naszą narodową. W zeszycie 272 z dnia 1. lutego b. r. p. Marjusz Vachon ogłosił wiadomości o rzeźbiarzu pewnym prowincjonalnym z wieku XVII, talencie olbrzymim, o którym historja sztuki nic dotychczas nie wiedziała. Nazwisko jego: Piotr Vaneau. Nas talent ów nie interesowałby może więcej, jeno jako talent, gdyby nie to, że pryncypalne dzieło jego stanowi pomnik Jana III. Sobieskiego, wyrzeźbiony z drzewa. Jest to model-projekt, który, jak się domyślają, wyciosanym miał być w marmurze czy w kamieniu, czy też odlanym z bronzu i postawionym na jednym z placów warszawskich za życia jeszcze zwycięzcy z pod Wiednia. Nie przyszło do tego. Projekt pozostał w stanie modelu, lecz wykończonego w całości i odznaczającego się zaletami kompozycji i wykonania takiemi, iż p. Vachon nie waha się talent owego rzeźbiarza nieznajomego stawiać, jeżeli nie obok, to nie o wiele niżej od talentu Michała Anioła.

Oto opis pomnika według p. M. Vachon: Pomnik ma kształt prostokątny. Na podstawie wynoszącej mniej więcej 3,50 m. kw., wznoszą się w rogach cztery postacie, na dwa blisko metry wysokie. wyobrażające w sposób alegoryczny narody, nad któremi Sobieski wielkie odnosił zwycięstwa. Posąg bohatera polskiego wznosi się na piedestale umieszczonym pośrodku. U stóp jego pod mieczem schodzą się łańcuchy postaci alegorycznych. Sobieski ma na sobie płaszcz królewski i koronę. Podstawę zdobią cztery płaskorzeźby: dwie, 2,45 m. długości na 1,05 wysokości, przedstawiające, jedna klęskę Turków pod murami Wiednia, druga wejście uroczyste Jana Sobieskiego do miasta; dwie inne, 1,40 m. długości na 1,05 wysokości, przedstawiają, jedna wizerunek w medaljonie Sobieskiego, druga wieńczenie jego przez pokój i zgodę. Piedestał zdobią także cztery bareliefy, przedstawiające kompozycje alegoryczne, odnoszące się do życia heroicznego Jana Sobieskiego. Wszystkie te rzeźby, posągi i płaskorzeźby wykonane są w drzewie orzechowem lub dębowem.

Posłuchajmy dalej sądu co do wartości artystycznej utworu:

„Rozkład architektury — powiada p. M. V. — nie jest bez zalet ogromnych; co się zaś dzieła rzeźbiarskiego tyczy, znamionuje ono artystę wielkiego, który nietylko znał rzecz swoją i posiadał zręczność wielką, ale posiadał jeszcze i prawdziwy temperament. Vaneau w pomniku tym wykazuje rozumienie dokładne sztuki rzeźbiarskiej. Figury jego postawione są dobrze i profil ich uwydatnia się silnie w świetle linjami niebieskiemi. Jest w tem coś „Michał-Anielskiego". Zresztą, jak się zdaje, Vaneau studjował szczególnie wielkiego mistrza florenckiego" itd.

Autor daje następnie szczegółowe opisanie płaskorzeźb tak na podstawie jak na piedestale i umieszcza kopie dwóch kompozycji, mianowicie zaś tej, co wyobraża bitwę pod Wiedniem i tej, co przedstawia gloryfikację Sobieskiego. O ile wedle drobnych tych obrazków sądzić można, pochwały p. M. V. są w zupełności zasłużone. Bitwa wre życiem. Sobieski konno na pierwszym planie, zamierza się mieczem na Kara Mustafę, parującego cios. Za królem polskim gonią w odmęt boju: syn jego, książę Lotaryngski, Maksymiljan Bawarski i giermek z buńczukiem: przed nimi w ucieczce szalonej unoszą się z pola bitwy: Tekeli, pasza Budy, pasza Mezopotamii i innych wielu wojowników tureckich; tło obrazu zajmuje mrowisko tłumów walczących. Na ramach następujący czyta się napis:

Castra licet triplici prostent circumdata vallo
Hac via magnanimo ferro patet invia regi.

Zachodzi pytanie: jakim zbiegiem okoliczności ów jakiś Vaneau, nieznany artysta prowincjonalny, przyjść mógł do rzeźbienia projektu na pomnik Sobieskiego? P. M. Vachon tak zagadkę tę rozwiązuje. „Vaneau był protegowanym i przyjacielem biskupa z Puy, Armanda de Béthune, który, gdy ze stolicy biskupiej Montpelierskiej przeniesionym został do Velayskiej, przywołał go do siebie. Jeden z braci Mgnora z Puy, Franciszek de Béthune, hr. Selles, ambasador francuski w Polsce, pojął w małżeństwo siostrę małżonki Jana Sobieskiego, Marji Kazimiery de la

Grange d'Arquien, która, będąc primo voto za Jakóbem Radziwiłem, księciem *Samoiskim (?!)* wojewodą sandomirskim, owdowiawszy wyszła powtórnie, 6 czerwca 1685 r. (?) za Jana Sobieskiego, podówczas marszałka wielkiego i hetmana *général* wielkiego w Polsce. Królowa Marja Kazimira musiała zapewne o wielkim Vaneau talencie słyszeć od szwagra, który bywając w Puy u Mgnora de Béthune, wejść mógł w stosunki przyjaźni z rzeźbiarzem velayskim. Gdy chodziło o wzniesienie pomnika na pamiątkę bitwy pod Wiedniem, zgłoszono się do Vaneau za pośrednictwem Franciszka de Béthune. Wedle Mandéta, historyka velayskiego, Vaneau zrobił w Puy model z drzewa i jednemu z uczniów swoich polecił wykonać podług modelu tego w Polsce pomnik z marmuru kararyjskiego; lecz trudność wykonania była taką, że Vaneau opuścić musiał Puy i pospieszyć na pomoc uczniowi swemu." W podaniu tem może być prawdy trochę — czyni p. M. V. uwagę i dodaje: „Bądź co bądź projekt drewniany pomnika Jana Sobieskiego stał się własnością Mgnora de Béthune."

Po śmierci biskupa z Puy dzieło Vaneau wystawionem zostało na sprzedaż z targu publicznego i rozeszło się częściami w ręce różne. Pięć posągów nabył Mgnor de la Rochefoucauld, kardynał, ambasador przy stolicy apostolskiej i zapłacił za takowe franków tysięcy piętnaście. Na czasy owe cena taka najlepszem jest świadectwem wysokiej artystycznej wartości dzieła, które było modelem tylko. Od kardynała de la Rochefoucauld postacie te dostały się prawem spadku rodzinie markiza de Pruns, w posiadaniu której pozostają obecnie. W r. 1793 uległy one uszkodzeniu: połamano łańcuchy. Płaskorzeźby piedestalowe kupił miłośnik sztuk i znawca, członek jednej z rodziny Chabron de Solilhac, od którego odziedziczyła takowe po kądzieli rodzina de Chaumeil-Lacoste. Płaskorzeźby podstawowe zdobią galerję zamku Montresor, własności zmarłego niedawno hr. Ksawerego Branickiego, któremu jakim sposobem ułamek ten dostać się mógł, pan M. V. domyślać się nawet nie umie.

„Projekt pomnika Sobieskiego przez Vaneau — konkluduje autor artykułu — jest dziełem świetnem, czyniącem zaszczyt temu artyście nieznanemu i pozwalającem umieścić go w pierwszym szeregu pomiędzy rzeźbami wieku XVII. Życzyć należy, ażeby porozrzucane tam i ówdzie po zbiorach prywatnych ułamki zgromadzić można w muzeum jakiem i odbudować w ten sposób w całości monument ten, będący bez zaprzeczenia jedną z najpiękniejszych kreacyj sztuki francuskiej w rzeźbieniu na drzewie".

Życzenie to popieram siłą całą, nie wątpiąc że uzyska ono poparcie wszystkich u nas miłośników sztuki i wyznawców pamiątek historycznych, tembardziej, że pamiątka ta odnosi się do Jana III., postaci jednej z najwybitniejszych w dziejach naszych, króla szlachcica, przedstawiciela najwyrazistszego klasy społecznej, która stanowiła naród polityczny. Jan III streszcza w sobie wszystkie klasy tej zalety i wady. Wystarczającem to jest, ażeby się zainteresować pomnikiem jego, stworzonym w głębi krainy Auvergne, której, jak się zdaje, nie opuszczał on nigdy. Podanie historyka velayskiego o wysyłaniu modelu do Polski wydaje się być błędnem. Byłaby o tem wzmianka jakaś w źródłach oficjalnych lub nieoficjalnych, odnoszących się do panowania Jana III. Nie przypominam sobie niczego podobnego. Może jednak mnie pamięć zawodzi. W każdym razie atoli, czy model ów w Polsce był, czy nie był, jest on przedmiotem zajmującym z dwóch mianowicie względów, raz dlatego, że daje świadectwo szerokiego interesowania się w czasie owym Polską. Vaneau pozostawił po sobie mnóstwo wielkie pamiątek działalności swojej artystycznej po kościołach i zamkach w okolicy miasta Puy, w krainie Vélay; pomiędzy niemi jest niemało arcydzieł; po nad wszystkie jednak wznosi się pomnik Jana III. Czy w rzeźbieniu pomnika tego nie powodował się on natchnieniem, wywołanem przez rozgłos czynów bohatera chrześciaństwa? Czy natchnienie nie było tu pobudką i podnietą jedyną? Artystom przytrafiają się wypadki podobne. Wolno więc przypuszczać, że coś podobnego przytrafiło się i Vaneau'emu, tembardziej, iż wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, ażeby utwór ten, zawędrowawszy raz do Polski, odwędrowywać miał z powrotem do Francji. W Polsce przecie znalazłby się był na niego amator, nie król, nie królowa, nie królewicz, to z magnatów ktoryś. Najprawdopodobniej byłby pozostał w Wilanowie i nie uległ rozkawałkowaniu, w jakiem znajduje się obecnie. Szkoda by była, gdyby tak pozostać miało na zawsze.

HONORARJA LITERACKIE WE FRANCJI

przez

EMILA ZOLĘ.

II.

Dawno już rozmyślałem nad tem, jak ciekawem byłoby poznanie materjalnego i moralnego stanu pisarzy minionych wieków. Jakie stanowisko zajmowali w społeczeństwie? w jakim pozostawali względem nich stosunku panowie i mieszczaństwo? jak żyli, jakiemi środkami i na jaką skalę? Niełatwe to, zaprawdę, zadanie; — dokładna odpowiedź na te pytania wymaga studjów i sprawozdań krytycznych. Należałoby zebrać wszelkie możliwe dokumenty o pisarzach, zgłębić ich życie domowe, poznać stan ich, ułożyć budżet, wyśledzić ich codzienne troski i kłopoty. Przedewszystkiem zaś wypadałoby zbadać stan handlu księgarskiego w danej epoce, jaki zysk przynosiły autorom książki i nareszcie przekonać się, czy człowiek mógł się utrzymać z pracy literackiej? W takim tylko razie można zrozumieć istotne przyczyny literackiego kierunku minionej epoki; jak natura niwy wpływa na rośliny, tak pisarza pasożyta czasów klasycznych, warunkowały kwestje pieniężne.

Rzecz prosta, iż nie mogę tym razem zbadać tej sprawy szczegółowo. Na to potrzeba więcej swobodnego czasu, którego nie posiadam. Przedstawię tu więc tylko szkic powierzchowny tej kwestji, kilka uwag, które zebrałem i postaram się wykazać, że przedmiot ten może być bardzo szeroko i w sposób zajmujący przedstawiony. Nie mam również zamiaru szeregować faktów w ściśle określonym porządku, przedstawię je jak mi się nasuną w pamięci, i postaram się wyzyskać z każdego z nich kilka myśli dotyczących mego przedmiotu.

Gwoli dokładności badania należałoby zwrócić się do pierwszych przedstawicieli naszej literatury. Zacznę jednak od Malherbe'a. Oto co czytamy w tym względzie w Tallement des Réaux; autor objaśniwszy, że król nie mógł wyznaczyć poecie dostatecznej pensji, dodaje: „Król polecił panu de Bellegarde, ówczesnemu pierwszemu szambelanowi, uczynić Malherbe'a pensjonarzem. Pan Bellegarde wyznaczył mu 3,000 fr., stół, służącego i konia... Po śmierci Henryka IV, królowa Marja medycejska wyznaczyła Malherbe'owi 1,500 franków pensji i od tego czasu nie otrzymywał więcej pensji od Bellegarde'a... Pan Moran obiecał Malherbe'owi i jednemu z jego przyjaciół, jakiemuś szlachcicowi, po 400 lirów każdemu, nie pamiętam dlaczego i tem zrobił im znaczną usługę. Przyczem zaprosił ich na obiad. Malherbe nie chciał doń przyjechać, chyba że przyśle po niego powóz. W końcu jednak szlachcic namówił go, aby się udał na objad konno. Po objedzie wyliczono im pieniądze..."

Nie jest-że to przykład typowy? Sądzę, że słowa te objaśniają rzecz całą dostatecznie. Pisarz — to zbytek, którego sobie pozwolić może tylko magnaterja. Gdy król nie miał pieniędzy polecał pisarza magnatowi, niby jakąś kosztowną istotę, która z czasem i jemu się przydać może pod postacią świetnej rozrywki. Gdy śmierć przeszkodzi królowi zadosyćuczynić swym życzeniom, wtedy królowa zaopiekuje się pisarzem. Pisarze stanowili pewnego rodzaju rzadkie i kosztowne ptactwo, które magnaci trzymają u siebie i darują je sobie jeden drugiemu, zamieniają, ażeby okazać swój smak estetyczny i pochełpić się swojem bogactwem. Szczególniej uderza mnie hardość Malherbe'a, mimo jego pasożytnego położenia; gotów przyjąć pieniądze od Morana, lecz żąda powozu, aby się po nie udać i nakoniec zadawalnia się wierzchowcem. Nie jest-że to charakterystyczną cechą zeszłych wieków: podarek pieniężny nie stanowi obrazy, byle przytem zachowano odpowiednie pozory.

Tego rodzaju historji o pensjach i pieniężnych podarkach znajdujemy niemało u Tallementa des Réaux. O Racanie powiada: „żył z tego, że przywodził żandarmerji marszałka Effiat". W innem miejscu powiada o Chapelainie: „książe Longeville przywabił do siebie Chapelaina od pana do Noaille, który obchodził się szorstko z poetą — wyznaczył mu pensji 2,000 lirów. Za odę, napisaną na cześć kardynała Mazarini, dostał pensji 1,500 fr... Potem Longeville dodał mu sto lirów". Co sobie pomyśleć o tym panu de Noaille, który do tego stopnia „szorstko obchodził się z Chapelainem, że Longeville, skorzystawszy ze sposobności, przyciągnął do siebie poetę za wysoką jak na owe czasy cenę? W ten sposób usługa zmieniała panów, gdy panowie się kłócili.

Przytoczę znany, lecz bardzo zajmujący fakt z książki Woltera p. t. *Wiek Ludwika XIV*. Jest to wyjątek ze spisu pensji z papierów Colberta i ułożonego z pewnością przez Chapelaina: „Panu Piotrowi Kornelowi pierwszemu dramaturgowi na świecie — 2,000 lir.; p. Demarais, najpłodniejszemu pisarzowi, obdarzonemu najpiękniejszą wyobraźnią, jaka kiedykolwiek istniała — 1,200 lirów; p. Molierowi wybornemu komicznemu poecie — 1,000 l.; p. Cotin opatowi, francuskiemu poecie i mówcy — 1,200 l,; p. d'Ouvrier, uczonemu humaniście — 3,000 l.; p. Rasynowi, francuskiemu poecie — 800 l.; p. Chapelain, największemu poecie wszystkich czasów i wybornemu krytykowi — 3,000 l.

Gdybyśmy nawet nic nie mieli przeciw tytułowi „największego dramaturga" danego Kor-

nelowi, to niepodobna nie dziwić się, dowiedziawszy się, że Demarais posiadał „najświetniejszą wyobraźnię jaka kiedykolwiek istniała“ i że Chapelain sam się wydaje za największego poetę wszystkich czasów i wybornego krytyka“. Lecz nie o to chodzi; spis ów jest nieocenionym dokumentem z tego mianowicie względu, że wykazuje właściwe znaczenie pensji. To nie jałmużny bynajmniej, ale nagrody Ludwika XIV, jako dowód zadowolenia z tych, którzy talentem swym przyczyniali się do jego sławy.

Później zwrócę jeszcze uwagę czytelnika, śród jakich warunków państwo obecnie pomaga literaturze; lecz w dawniejszych czasach przyczyną ustanawiania pensji było niepewne położenie literatów, a prócz tego pensja zawierała w sobie pojęcie zaszczytu, to też nawet majętni literaci o nią się ubiegali.

Pod tym względem znajdujemy uderzający przykład u wspomnianego Tallementa z powodu Jana Ludwika Balzaca: „Balzac, kreśląc list do kardynała, podpisuje się w ten sposób: waszej eminencji najniższy, najpokorniejszy i najpoddańszy sługa i pensjonarz... Dodać należy, że Balzac materjalnie mógł być niezależnym, a mimo to postarał się o pensję wynoszącą 1,500 lirów“. Oto literacki parazytyzm w pełnem tego słowa znaczeniu.

Przy tej sposobności odsyłamy czytelnika do grobowego napisu Trystana skreślonego przez Gastona Orleańskiego*).

Nie wszyscy jednak ubiegali się o podobne zaszczyty. Bywali utalentowani ludzie, którzy przekładali po nad wszystko niezależność; lecz były to wyjątki, a to, powtarzam, dlatego, że pojęcia ówczesne bezwarunkowo usprawiedliwiały podobny stan rzeczy. Później w epoce Woltera, znakomity satyryk, w następujących słowach wyraża się o Menardzie, zapomnianym poecie z drugiej połowy XV. wieku: „Był to jeden z tych pisarzy, którzy wciąż uskarżają się na niedostatek, będący jakoby nieodłącznym udziałem talentów. Nie wiedział on, że powodzenie uczciwej pracy jest jedyną, godną nagrodą artysty; a jeśli książęta i ministrowie pragną pozyskać zaszczyt, nagradzając tego rodzaju zasługi, to daleko zaszczytniej czekać tej nagrody, nie dobijając się o nią i że dobry pisarz, dążący do bogactwa, winien sam się go dobić“. Widzimy, że tu już nie ma mowy o dziwnej próżności Balzaca dumnego z nazwy pensjonarza; lecz i w tej epoce jeszcze spostrzegamy, jak Wolter nie potępia pensji, powiada tylko, że należy umieć ją pozyskać.

Przyjrzyjmy się jeszcze faktom podanym przez Woltera: „Dekart miał starszego brata radcą bretońskiego parlamentu. Radca ten mawiał, że bratu radcy nie godzi się być matematykiem“.

Z życia Lafontaine'a zaczerpnąć możemy ciekawe świadectwa. *Amateur d'autographes,* gazeta, w której drukowano zajmujące listy, podaje między innemi kilka bardzo ciekawych listów Lafontaina. W liście z 5 stycznia 1618. roku poeta dziękuje swojemu wujowi, pomocnikowi królewskiego prokuratora, donosząc, że bardzo mu jest wdzięczny za pieniądze, które raczył mu przysłać: „Nie pierwszy to raz składa pan dowód swojej dla mnie przychylności“. W innym liście do zarządcy księcia bulońskiego (z d. 1 września 1666 r.) skarży się, że od dwu lat nie otrzymał pensji. Lafontaine'a uważać możemy za typ poety bardzo utalentowanego, którego prace cieszyły się ogromnem powodzeniem, a który jednak wspomagany był przez magnaterję, przechodząc od jednego do drugiego pana i nie uczuwając potrzeby niezależnego pracowitego życia.

Z łatwością mógłbym przytoczyć mnóstwo podobnych faktów. Oto naprzykład w tymże *Amateur d'Autographes* znajdujemy następujące dowody. W liście Dacier'a do księcia orleańskiego, ówczesnego regenta, czytamy co następuje: „Już od trzydziestu pięciu lat żona moja zajmuje się literaturą, a pochwała, jaką W. Wysokość zaszczycił jej prace, przekonywa nas, że nie są one bezpożyteczne. Zmarły król wyznaczył jej pensją w ilości 500 lirów; lecz pensję tę zawdzięcza ona przedewszystkiem miłosierdziu tego wielkiego monarchy“. Oto drugi list, adresowany przez Gilberta do bakałarza d'Arno: „Potrzebuję luidora, postanowiłem prosić o to pana. Nie wątpię, że nie odmówi mi pan tej grzeczności“. Oto nakoniec co pisze pani de Genlis do Talleyranda 10 lipca 1814 r.: „Położenie moje po wyjeździe księcia orleańskiego jest nieznośne — nie mam ani pensji, ani dochodów; żyję jedynie z pożyczek i z zastawionych rzeczy... Jeśli król wyznaczył pensje literatom, to mnie się zdaje, że mam do pensji nie mniejsze od wielu innych prawo“.

Nie pełny to jeszcze obraz materjalnego położenia literatów zeszłych wieków. Z tego widać, w jakim kierunku należy przedsiębrać badania i jak zajmujące pod tym względem istnieją dokumenty. Należałoby więc rozpatrzeć jaki dochód przynosiły autorom ich prace, jak i w jakiej cenie sprzedawano książki. Posiadamy jednak mało materjałów o książkowym handlu owych czasów i o sumach, jakie przynosił autorowi danej ksiąžki. Najlepszym sposobem zebrania dowodów tego rodzaju, byłoby uważne odczytywanie pamiętników i listów; tu można odszukać rozproszone w dokumentach tych fakty. Z góry można przypuścić, że książki i teatralne sztuki przynosiły bardzo mało autorom, zwłaszcza gdy porównamy ówczesne cyfry tego rodzaju z dzisiejszemi. Nie ma przykładu, aby jenjalny człowiek w owych czasach doszedł do majątku na literaturze. Kornel zmarł w ubóstwie. Rasyn ku końcowi życia musiał bardzo się ograniczać. Również Molier poprzestawał na małem, jakkolwiek był aferzystą.

Autorom dramatycznym zaczęło się wieść lepiej dopiero od czasów Baumarchais'go. Co się tyczy powieściopisarzy, poetów, historyków — ci zawsze byli łupem księgarzy. D'Arno, o którym wyżej wspomniałem, zmarł biedakiem, a przecież prace jego przyniosły wydawcom miljony.

Zesumowawszy to, co się wyżej powiedziało, dojdziemy do przekonania, że całe życie intelektualne w XVII. i XVIII. wieku ogniskowało się w ciasnem kole wyższych sfer społecznych, w salonach i akademjach. Ztąd też, jak to widzieliśmy, kierunek literacki odznaczał się moralnem wymuskaniem i retoryką, hołdując przyzwoitości, elegancji, pierwiastkom wyrosłym śród kobiet i ścieśnionym akademickiemi rozprawami. Kierunek ów trzyma się niezłomnie prawideł i tradycji, rozsiewając instynktowną nienawiść do wszelkich nowości i reform w nauce, jakby do nieprzyjaciela, który z czasem zburzyć musi przyjęte prawidła i wnieść wszędzie nowe formuły.

Przejdźmy do materjalnych stosunków współczesnego pisarza.

---

*) Ebloui de l'eclat de la splendeur mondaine
Je me flattais toujours d'une espérance vaine,
Faisant le chien couchant aupres d'un grand seigneur.
Je me vis toujours pauvre et tachai de paraitre.
Je vécus dans la peine, esperant le bonheur,
Et mourut sur un coffre en attendant mon maitre.

Przed pierwszym balem.

Jedź na bal, dzieweczko! U księcia Adama
Jak gwarno i tłumno... Tem lepiej!
Niech pudrem twarzyczkę osypie ci mama,
Sukienkę kwiatami oczepi.
Dziecięcy wiek minie — zatęsknisz ty sama
Do ciszy, spokoju, co krzepi...
Troskliwa o los twój pogderze cię mama,
Żeś smutna, znudzona... Tem lepiej!

Na balu, dzieweczko, ty będziesz królową
I dworzan mieć będziesz bez liku;
Nie jedno usłyszysz zdawkowe, czcze słowo,
W wykwintnym salonów języku.
Czas hołdów przeminie... Ze zwisłą w dół głową
W fotelu usiądziesz w kąciku,
Po twarzy twej, walką wzburzonej życiową,
Łza spłynie wśród zmarszczek bez liku.

Jedź na bal! Blask żywszy w twych oczach zapłonie:
Niech zawsze w spojrzeniu twem będzie,
Niech raźna wesołość, konieczna w salonie
Na zawsze na licu osiędzie.
Bal potrwa chwil kilka — ty nie troszcz się o nie,
Miej lata życiowe na względzie,
A chwilkę balową odczujesz w twem łonie,
Gdy balów już dla cię nie będzie.

Jedź na bal! Ja w domu bez żalu zostanę,
Gdy tańczyć u księcia tam zaczną,
W mym cichym zakątku sny goniąc wiośniane
Spać będę — jak nigdy tak smaczno.
A jutro usiądziem sam na sam, we dwoje,
U okna o szarej godzinie;
Balowe sukcesa opowiesz mi swoje
I wieczór jak chwilka przeminie.

Jedź na bal! Niejeden z dzisiejszych tancerzy
Niebawem wizytę ci złoży.
Dziecięcy wiek minął... Dla złotej młodzieży
Wnet mama salony otworzy.
Gość jeden ubędzie... Wśród nowych natłoku
Cóż znaczy, nieprawdaż, ta strata?
Nieprawdaż?... Co?... Łezka błysnęła w twem oku...
Jedź na bal!.. do ludzi, do świata.

Czesław.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Przedewszystkiem muszę wyznać, że wiadomości moje o przyjęciu, jakiego dr. Emanuel doznał od hr. Albina, są bardzo niedokładne. Z informacyj, mozolnie tu i owdzie pozbieranych, wnoszę wszakże, iż hr. Skirgiełło rad był, że ktokolwiek przybył przerwać mu nudy górskiego ustronia, towarzystwo bowiem myśliwskie, które zgromadził był około siebie i które składało się z kilku mniejszych grandów i po-

spolitych hidalgów, zaczynało go nużyć i drażniło mu nerwy, z natury skłonne do irytacji. Hr. Albin nie był zdolnym, na wzór polityków wilkowskich, zajmować się dniem i nocą »akcją« polityczną, opartą na podstawie czerpanej z wyobraźni, ani też poświęcić swój czas i pracę stale jakiej rzeczywistej usłudze publicznej, lub instytucji prywatnej — ale kiedy przez dłuższy przeciąg czasu miał do czynienia z ludźmi, którzy nie myśleli nigdy o niczem, jak tylko o rozrywkach lub potrzebach codziennych, odzywał się w nim niesmak, czy budziło się w nim poczucie obywatelskie, i gotów był równie znienacka i gorączkowo rzucić się w wir różnych zabiegów i czynności, jak innym razem znienacka i stanowczo usuwał się od wszystkiego.

— Czy jest co prawdy w tych jakichś spiskach, które się knują w Wilkowie, i o których *Rak* wspomina z takiem oburzeniem? — zapytał dra Mitręgę.

— Hm, to jest właśnie kwestja, która mię tu sprowadza. Zarazem, to wytłumaczy hrabiemu powód postawienia kandydatury Ciemięgi. Przygotowują się rzeczy, którym koniecznie zapobiedz potrzeba.

— Kto je przygotowuje? — zawołał hrabia, zrywając się z szezlonga, na którym leżał.

— Czerwona demokracja: Sztyletowicz, Robespierski i inni.

— I czegoż chcą?

— Urządzają na własną rękę wyprawę przeciw Laputańczykom.

— Ależ na to nie można na żaden sposób pozwolić; to półgłówki i oczajdusze, którzy mogą narobić pięknego bigosu!

— Ja byłem tego samego zdania, a ponieważ w takich rzeczach nie można porozumiewać się listownie, i rzecz zresztą nie cierpiała zwłoki, więc dla sparaliżowania tych robót, na własną rękę wysunąłem naprzód Ciemięgę.

— Tak, i Ciemięga został radykalnie sparaliżowany. Ale mniejsza o to. Jakiemi siłami mniej więcej rozporządzają czerwoni?

— Mają ludzi, broń i kasę.

— Mają, mają! Ale ile jest tego wszystkiego?

— Ba, gdyby to można wiedzieć! Trzymają wszystko w sekrecie.

Na szczęście dla ciekawego czytelnika, wiem z tajnych archiwów milicyjskich, jakiemi siłami rozporządzali już wówczas Sztyletowicz i Robespierski. Mieli sześciu ochotników, pistolet, dwa noże kuchenne, półtora idealnika i bilet wolnej jazdy koleją żelazną, tylko że ta ostatnia na nieszczęście prowadziła w stronę wprost przeciwną tej, z której znajdowali się Laputańczycy.

— Szczególna rzecz — rzekł hr. Albin po chwili namysłu. — Przed chwilą odebrałem bardzo tajemniczo brzmiący list od Oxenszlepa, w którym mnie zaklina, ażebym czemprędzej przybywał do Krachenburga, gdzie mam dowiedzieć się niezmiernie ważnych rzeczy od ważnych bardzo figur. Kto wie, może się uda coś zrobić tak, ażeby nie narazić kraju na żadne klęski i nie dopuścić szaleństw, jakie gotują czerwoni.

Hrabia zadzwonił.

— Zaprzęgać! — rzekł do lokaja. — Jedziesz pan ze mną? — dodał zwracając się do Mitręgi.

— Choćby na koniec świata.

— A *Orędowniczka?*

— *Orędowniczka* przestanie wychodzić dla braku funduszów, więc nie mam poco spieszyć się do niej.

— Cóż znowu! Przecież poleciłem...

— Poleciłeś mi hrabia udać się do Ściślewicza, a Ściślewicz oświadczył mi, że ma tylko polecenie zaprenumerować *Szturchańca.*

— Ależ-bo to wyborne pisemko! Jak dowcipnie ten Języczkowski opisał waszą kampanję przeciw Ciemiędze i za Ciemięgą! Cha, cha, uśmiałem się do rozpuku, choć i mnie się tam dostało. Ileż potrzeba dla *Orędowniczki?*

— Najmniej trzy tysiące, ażeby dociągnąć do końca kwartału.

— Hm, to dużo! Ale mniejsza o to, dam panu asygnację do Ściślewicza, a pan mu napiszesz, komu ma wypłacić pieniądze.

W pół godziny później, hr. Skirgiełło i dr. Mitręga byli w drodze do Krachenburga. Miłoby mi było pokazać czytelnikowi mojego wice-bohatera, konferującego z owemi ważnemi figurami, o których Oxenszlep pisał do hr. Albina, dowiodłoby to bowiem, że nie zajmuję się pospolitymi ludźmi, ale tajemnice dyplomacji są dla mnie święte, i o ile to odemnie zależy, zostaną tajemnicami, jakkolwiek mię pióro świerzbi. Wskażę więc tylko w głównych zarysach rezultat »akcji«, tak, jak go dr. Mitręga, powróciwszy do Wilkowa, skreślił poufnie sekretarzowi Kluszczyńskiemu.

Niektórzy uczeni utrzymują, że Milicja nie przytyka do morza, co jest zupełnie mylnem. W zbiorze ustaw, uchwalonych przez Stany tego państwa, znalazłem jedną, której tytuł opiewa: »Ustawa dla ww. kstw. Milicji i Landwerji z uksiążęconem hrabstwem Sokołowskiem, dotycząca regulacji wszystkich wód, z *wyjątkiem morza.*« Otóż każdy przyzna, że gdyby tam nie było morza, mądrość ustawodawcza milicyjska nie stanowiłaby dla niego wyraźnego wyjątku, ale owszem, poddałaby je najsurowszej regulacji, równie jak stawy, sadzawki, potoki i rzeki. Jest tedy morze, wprawdzie nie w Milicji samej — ale Landwerja ma kilka portów, jako to: Port à Port, Port d'épée, Pasz-Porty, i t. d. uskarza się ona tylko na brak mniejszych, *zdrobniałych*, że tak rzekę, portów, na zbytek bałwanów, i na częste zatoki, jakoteż na to, że ma zawsze więcej odpływu, niż przypływu, i więcej niedostatków, niż statków. Już wszystkie te skargi same przez się dowodzą najlepiej, że panowie uczeni nie dość dokładnie zbadali jeografję ciekawych krajów, które opisuję.

Otóż w jednym z portów, położonych na wybrzeżu Ladwerji, miał być wyekwipowany okręt wojenny, zaopatrzony w działa, w załogę, w banderę, w suchary, w pekelfleisz i we wszelkie inne przybory służące do morderstwa na wodzie. W przekonaniu, że wyprawa ta wyjdzie na dobre Milicji i Landwerji, hrabia Albin Skirgiełło bez wahania się dał ćwierć miljona idealników na opędzenie kosztów. Okręt ten miał krążyć na tyłach Laputańczyków i przecinać im dowóz żywności i potrzeb wojennych, a w razie potrzeby wpłynąć na rzekę Plejtę i rozprawić się stanowczo z nieprzyjacielem.

— A to genjalny plan! — zawołał sekretarz Kluszczyński. Żałuję, że już mi wiek nie pozwala wziąć w nim udziału, bo za młodu, panie tego, byłem wybornym wioślarzem! Pamiętam raz, w Stawiczanach na sadzawce... ale to nie ma nic do rzeczy. Więc zapewne już wszystkie posady są obsadzone?

— Tak, mniej więcej — odparł dr. Mitręga. — Brakuje jeszcze ponoś tylko admirała portowego.

— Admirała portowego? Cóż to za godność?

— Admirał portowy... jest to po prostu admirał, który zostaje w porcie, podczas gdy inni pływają po morzu.

— I nosi jakie oznaki?

— Oczywiście, tylko pojmujesz pan, że ponieważ robimy wszystko w sekrecie przed Chaocją, więc na razie będzie to...

— Tajny admirał portowy!

— Nie inaczej.

— Hm, hm, panie te, panie tego, kochany doktorze — wiadomo panu, jak dalece pałam chęcią służenia sprawie publicznej. Zdaje mi się, że w chwili obecnej najlepiejbym to mógł uskutecznić, przyjmując posadę tajnego admirała portowego, która zupełnie odpowiada moim siłom i zdolnościom. Zresztą, zrobię Wtorkowskiego moim adjutantem, a to panie te, panie tego, urodzony marynarz: jest nawet prezesem towarzystwa gimnastycznego, a na okręcie gimnastyka jest niezbędnie potrzebną. Otóż podejmuję się zrobić to wszystko na mój własny koszt, nawet gdyby potrzeba munduru, szlifów, kapelusza z piórem... jeżeli tylko kochany doktor zechcesz wspomnieć o tem, gdzie należy!

— Z największą przyjemnością; nie wątpię nawet, że pańska ofiara będzie jak najwdzięczniej przyjętą. Zrobi się to z pewnością. Tymczasem chciałbym pomówić z szanownym sekretarzem o interesie, o którym wspominaliśmy.

— A, o zajęciu Plejty, i o przecięciu komunikacyj Laputańczykom! Mój plan byłby...

— Nie, nic o tem. O ulokowaniu akcji *Orędowniczki* w gronie naszych przyjaciół politycznych... Wspominałem panu, że pismo, ażeby miało należytą powagę, nie może być organem jednego człowieka, ale powinno opierać się na stronnictwie. Ja z mojej strony ponoszę chętnie wszystkie ofiary, ale potrzeba także, ażeby stronnictwo...

— O, niezawodnie! Zrobi się, zrobi się, kochany doktorze! Proszę tylko o nieco czasu, bo to widzisz pan, u nas gdy potrzeba sięgnąć ręką do kieszeni, to wszystko idzie jak z kamienia. Między nami mówiąc, obywatele nasi nie mają jeszcze wyrobionego poczucia swoich obowiązków... trzeba zaklinać, błagać... a każdy skrobie się w głowę. Ale zrobi się, zrobi! Już ja im to wyperswaduję!

— Innym potrzeba perswadować, ale sekretarz, to i bez perswazji weźmie kilka akcji...

— Ja, panie dobrodzieju? O, na mnie teraz ciężkie czasy! Wydaję córkę za mąż, za pańskiego współpracownika, Wołodeckiego. Bardzo porządny i zdolny młody człowiek, ale goły, jak turecki święty.

— Ej — pomyślał dr. Mitręga — mój Wołodecki widzę nie próżnował w mojej nieobecności. Zartuje sekretarz, — dodał głośno — w pańskiem położeniu kilka akcji po sto idealników, to bagatelka!

— Jak honor kocham, panie dobrodzieju, musiałbym sprzedać papiery ze stratą! Ale zrobi się, zrobi... później.

— Liczę na pana sekretarza!

— A ja także liczę na pamięć pana doktora, w sprawie tego admiralstwa.

— O, to bagatelka! Zrobi się z pewnością!

Ale jakoś nic się nie zrobiło. Najpierw p. Oxenszlep i inni, którym polecono wyekwipowanie wyprawy morskiej, mieli wiele trudności z zakupnem odpowiednich przyborów. Trwało to parę miesięcy, a gdy dali znać, że już wszystko gotowe, ktoś doniósł o tej gotowości władzom chaockim. Chaocja, jako odpowiedzialna za zewnętrzną politykę Milicji i Landwerji, przedsięwzięła środki ostrożności. Uwięziono jednego i drugiego z armatorów; u jednego znaleziono w kuferku moździerz kościelny, przeznaczony zapewne do wykończenia uzbrojeń floty landweryjskiej — u drugiego schwytano banderę. Nakoniec, w porcie przeznaczonym na punkt wyjścia ekspedycji, zabrano stary prom, jako podejrzany o zamiar naruszenia neutralności, a jednocześnie odkryto spisek czerwony i skonfiskowano pistolet, jakoteż obydwa noże kuchenne. Idealników nigdzie nie było — właściciel moździerza zapewniał później, że za powierzoną mu sumę nabył cztery działa Armstronga z amunicją, które mu zabrano; a właściciel bandery w podobny sposób tłumaczył się, że mu wzięto z tłumoka liny, żagle, kotwice, i śrubę archimedesowską, za której pomocą poruszać się miała owa korweta pancerna, niepojętym sposobem w prosty, stary prom przemieniona. Gdy zaś tymczasem zawarto już zawieszenie broni, więc i dla braku floty, i dla opóźnienia się całej akcji w ogóle, nominacja p. Kluszczyńskiego na tajnego admirała portowego nie nastąpiła wcale.

Orędowniczka tymczasem prowadziła walkę zawziętą z *Postępem*, dowodząc, że zachwalany ambasador major Bombogromski się nie popisał. W istocie utrzymywano, że przez cały rok swego pobytu w Krachenburgu ani razu ust nie otworzył. Było to wierutnem kłamstwem, albowiem faktem jest historycznym, że kiedy pewnego razu, podczas audjencji, kanclerz państwa Chaocji kichnął, major Bombogromski, zawołał donośnym głosem:

— *Zur Genesung!*

Co, w urzędowym języku chaockim, znaczy: na zdrowie.

Nie potrzebuję dodawać, że hr. Skirgiełło rzuciwszy się najpierw zawzięcie w akcję polityczną i wyszafowawszy niemało idealników, spostrzegł niebawem, że specjaliści w tym zawodzie drażnią mu nerwy jeszcze gorzej od niepolitycznych grandów i hidalgów; porzucił więc wszystko, nim się jeszcze skończyło, i obrał sobie inny jakiś rodzaj sportu. Nie jestem pewny, czy nie pojechał polować na krokodyle w Nilu. Zapewne to w przewidywaniu tego obrotu rzeczy, dr. Mitręga myślał zawczasu o przemienieniu *Orędowniczki* na pismo akcyjne. Ponieważ atoli losy tego organu złączone są do pewnego stopnia z dalszym ciągiem tej powieści, więc pomówimy o nich w następnych rozdziałach, w których już nam zawikłania polityczne nie będą przeszkadzały zajmować się osobistemi sprawami naszych bohaterów i bohaterek.

Przedewszystkiem przypatrzmy się, kto niecierpliwiej wyglądał »wyjaśnienia się stosunków politycznych«, Stanisław, czy panna Natalia? Wiadomo nam bowiem, że wyjaśnienie się to było terminem, do którego sekretarz kazał czekać przyszłym państwu młodym. (C. d. n.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

przez

ZYGMUNTA MIŁKOWSKIEGO.

(Historja pierwotna Polski p. Juljana Bartoszewicza, tomów cztery, Kraków 1878, nakładem syna autora.)

(Dokończenie)

Brak bezstronności ajawnia się szczególnie w zestawieniu jednych z drugiemi zawiązków Polski i Rusi. Różnica pomiędzy niemi jest ta, że podczas kiedy pierwszy był czysto słowiańskim, to jest, że, luboć przyjął kadry ustrojowe obce, ale do utworzenia takowych, użył żywiołów swojskich, drugi żywioły zawiązkowe przyjąć musiał z za morza tak samo, jak takowe przyjmowały Anglja, Francja (Normandja), Włochy (kr. Ob. Sycylji). Różnica to ogromna. Tu konstrukcja od fundamentów, tu od szczytu — pierwsza wynikła z potrzeby, druga z konieczności. Normanowie żyli z napadów, rozbojów i łupieży; był to ich stan naturalny, którego im za złe brać nie można i który w wyprawach i wędrówkach dochodził do stopnia powstrzymania się i zmieniał na stan podboju regularnego w duchu państwowym. Przypuszczać się godzi i przypuszczać można, że ognisko słowiańskie, założone przez i śród Polan nad Wartą, szerząc się ku Bugowi, pomknęłoby ku Dnieprowi i wciągnęło w sferę attrakcji swojej Polan naddnieprzańskich, gdyby w stronie tej, rzeczy pozostawały były w takim stanie, w jakim się znajdowały przed podbojem normańskim. Stało się jednak inaczej. Normanowie póki łupieżyli, póty łupieżyli, zapędzali się na wschód, aż do stóp gór Uralskich, otworzyli sobie na wskróś krain słowiańskich trakt do Konstantynopola, na Wschodzie założyli państwo Biarmeńskie, nareszcie powstrzymali się na Słowiańszczyznie, zasnuli w niej organizację państwową i stanęli na przeszkodzie szerzeniu się w kierunku wschodnim organizacji czysto słowiańskiej, polskiej. Jest to fakt historyczny i nie co innego, tylko fakt historyczny, nie zasługujący zgoła na gniew historyka. Kto temu winien? — zbieg okoliczności. Normanowie byli rabusiami, jak rabusiami były narody wędrowne, które pozakładały państwa w Iberji, w Galji, w Niemczech, na półwyspie Apenińskim, jak rabusiami byli Bułgarowie, którzy wywołali do życia Bułgarję i o których autor z sympatją się odzywa. Na sympatję podobną zasługują i Normanowie. Konungowali oni, łupiestw i bezeceństw się dopuszczali tak długo, póki w naród podbity nie wsiąkli i na Słowian się nie przerobili. Gdy to nastąpiło, stanęła dynastja, tak samo i z tego samego tytułu prawowita, co np., dynastja Merowingów. Dynastja ta narzuciła się, nie zaś jak w Polsce z łona narodu wysadzoną została. Zachodziła tu różnica ta sama, co w odniesieniu do Niemiec, do Węgrów, do sąsiadów od strony zachodniej i południowej. Według nas była to różnica doniosłości wielkiej, nadająca dziejom Polski fizjognomję odmienną, a zasadniczo umotywowaną tem, iż na formach ustrojowych odbijała i pierwiastkowe pochodzenie onych. Starszyzna patrjarchalna przerabiała się powoli, według modelów ościennych, na starszyznę urzędową; władza doczasowa zmieniała się w dożywotnią; dożywotniość przetwarzała się w dziedziczność; stan rycerski zdobywał prerogatywy: potrzeba obrony wojennej wymagała hetmaństwa, dla którego dosyć było szczęścia, ażeby pozostała przy niem władza najwyższa, i ażeby władza ta przeszła z ojca na syna i stanęła jako precedens w obliczu praw zwyczajowych, w obec których czyny za ojców, za dziadów naszych dokonane zastępują miejsce praw zasadniczych. Jako taki czyn dokonany, po szeregu zapisanych w kronikach władców, których nie wiadomo do jakiego ze szczepów słowiańskich zaliczyć, występuje Ziemowit, postać prawie już historyczna, zwycięzca plemion ościennych i organizator siły orężnej, niewątpliwy pradziad Mieczysława I, ojca Bolesława Chrobrego, założyciela potęgi państwowej i dynastji Piastów.

Prace wewnętrznego kształtowania się Polski, tłumaczy Bartoszewicz doskonale w ustępie, który przytaczamy w treści.

„Znamy — słowa jego — sąsiadów Polski, jakimi byli w czasach przedhistorycznych, a raczej tylko przedpiastowskich, Polska, osamotniona śród rzeszy narodów pobratymczych, żyła w nieświadomości tego, co się po za granicami jej działo. Powstała wreszcie i tworzy trzecią wielką centralizację słowiańską. W epoce tej już się wiele około niej zmieniło. Kiedyś otaczało ją dużo miejsca pustego; plemiona bratnie żyły życiem patrjarchalnem. Ale nareszcie, grożąc i wynaradowiając, jak burza sroga, przykocowało aż do jej granic cesarstwo niemieckie. Z drugiej strony wichura dziejowa z łona zimnej Skandynawji wyrzuciła na ziemie słowiańskie zdobywców goniących tylko za łupieżą, i kiedy im się niespodzianie szczęśliwie udało, lawa skandynawska zastygła i osadowiła się na ziemi pobratymców naszych. Jeden wiek, koniec VIII. i początek IX, sprawił te wielkie zmiany. Trzy państwa zeszły się ze sobą.

„Polska przedzielała jedno od drugiego, bo sama była w pośrodku, potęgą wszelako żadnemu nie mogła sprostać.

„Cesarstwo, niepodległe w dobie Mieczysława już od dwóch wieków blisko, było spadkobiercą starej cywilizacji, która się wywijała z barbarzyństwa osadowionego na rozwalinach rzymskiej potęgi. Kraj ten dawno chrześcijański wiele już postąpił pod wszelkim względem

*

towarzyskim, prawodawczym, naukowym. Kościół, najwyższa wtedy społeczna i duchowna władza, jedynie cywilizująca, miał w narodach niemieckich cześć, jaka mu się sprawiedliwie należała, teraz się na nich głównie opierał. Ścisłe związki narodów tych z Włochami, z krajem, w którym była stolica chrześcijaństwa, cesarską władców koroną wzmocniona, podnosiły i samo znaczenie, wszech europejskie, wszech obecne państwa, które z taką mocą nad Słowianami teraz zaciężyło. Potęga materjalna i duchowa była po stronie tej niemieckiej.

„Państwo waregskie przyszło więcej do ziem słowiańskich przypadkiem, bez myśli. Ale się wprędce obeznało z położeniem rzeczy, i umiało z tego korzystać. Patrjarchalne narody porozrywane, bez związków z sobą, także przychodziło spoić siłą. To też kiedy okoliczności tak się złożyły, że najazd Ruryka mógł się już zakończyć za Jaropełka i Polsce Mieczysławowej zostawić pole ciągnąć dalej pracę Waregów, Waldemar (Włodzimierz I) nie popuścił ofiary z ręku i drugim najazdem więcej nacisnął ziemie słowiańskie. Właśnie cała jego siła spoczywała w tym najeździe. Organizacja hierarchiczna doskonale się rozwinęła na północy, przez nią wygrywali Skandynawowie, przez nią utworzyli państwo w Słowiańszczyznie, do którego się też wiele przyłączyło pierwiastków fińskich. Uorganizowane tłumy, zespolone spólną sprawą, chęcią zdobyczy, szły karne pod wodzą pierwszego lepszego konunga, albo rycerza i tryumfowały na wszelkiemi trudnościami. Kłócić się mogły z sobą, ale przeciw nieprzyjacielowi zawsze zachowywały z sobą solidarność rzemiosła. Organizacja ta przyszła śród naszych ojców do znaczenia, również jak brak tej organizacji ojców naszych zgubił. Waregowie przytrzymali plemiona pod swojem panowaniem. Rozkazem zaprowadzali wiarę chrześcijańską, rozkazem przepędzali całe ludności z północy na południe. Na rozkaz ich wznosiły się grody; jakby za skinieniem ręki czarodziejskiej zaludniały się kraje. Tak samo w razie wojny z Polską mogli Waregowie poruszyć całe ludności braci przeciwko braciom. Brali z nich przecież, jak widzieliśmy, tylko pewien procent krwi i majątku, brali ludzi i pieniądz. Brali, ale jak i kiedy chcieli, bo nie dosyć że obsadzali grody swoimi mężami, z których każdy miał przy boku swoim drużynę, lecz i na zawołanie zawsze mogli zciągać z za morza tłumy głodnych rodaków. W tem tkwiła ich potęga.

„Polska w pośrodku tych dwóch światów leżąc, miała coś z niemi wspólnego i coś odrębnego. Dwa kolosy złączywszy się, w Polsce wydały trzeci. Polska miała w sobie to, czego jedno z dwóch państw, niemieckie albo waregskie nie miało, lecz miało drugie, a nadto jako społeczność żywa, utworzona historją, Polska miała coś swojego znowu, czego nie widać było ani w sąsiedzie jej wschodnim, ani w zachodnim. Z Niemcami od Mieczysława i dawniej jeszcze miała wspólny kościół. Złączywszy się z cywilizacją zachodnią, na jej wzór urabiać się poczęła. Przejmowała więc od Niemców urządzenia społeczne, państwo w niej powstawało na tradycjach rzymskich, cesarskich. Rzecz jasna: formy swojej, narodowej, słowiańskiej, nie było, po zużyciu się więc patrjarchalności wziąć tylko było można formę niemiecką, wyrobioną. Ze wschodnim sąsiadem żadnego tu nie było i być nie mogło podobieństwa. Normanowie mieli także swoją formę wyrobioną rządu, kiedy rzecz tyczyła się wypraw rozbójniczych, ale ujrzawszy się nagle u steru rządu podbitych narodów, sami jeszcze nie wiedzieli jak się mają znaleźć, co robić. Dla tego systemat ich rządu, który z Kijowa rozległe ziemie obejmował, nie miał żadnej z początku myśli, był prostą łupieżą, to jest rządem, który (jak w ogóle wszystkie przemocą stanowione — przyp. Z. M.) dla rozboju się ustanowił. Waregowie zostawili więc nietknięte wolności stare narodu, bo ich brać nie chcieli, nie umieli (jak Frankowie w Galji, Wisygoci i Wandale w Hiszpanji, Longobardowie we Włoszech — przyp. Z. M.), zostały zatem wiece i sądy, zwyczaje i uroczystości. Myśli rządowej Waregów zadosyć się stało, skoro narody wykonywały rozkazy konungów i kniążąt. Tu więc Polska nic wspólnego nie miała z Waregami, ale wiązało ją, wprawdzie nie z państwem Kijowskiem, ale z podbitemi plemionami, pobratymstwo plemienne słowiańskie. Waldemar przyjmując wiarę z Grecji, zaprowadził różnicę, która rozdzielała rzeczywiście plemiona, zrobił ją także bez myśli (?), wszelako ta różnica nigdy nie mogła być tak potężną, żeby zacierała najświętsze powinowactwo krwi. I owszem, było bardzo silne to powinowactwo i przekonamy się o tem z następnych wypadków, które opowiadać będziemy.

„Przejawy życia narodowego, patrjarchalnego, słowiańskiego, były długo takież same w Polsce, co w ziemiach zabużańskich i naddnieprzańskich, co w ziemiach lechickich nad Łabą i Odrą ujarzmionych przez Niemców. Polska za Mieczysława, za jego następców zaczyna stanowczą, całkiem odmienną, wybitną przybierać cechę, którą się odróżni od swoich pobratymców. Jest wolna i szczęśliwa wśród ujarzmionych braci na wschodzie i zachodzie. Zachodni niemczą się językiem, wiarą, pojęciami, wschodni zachowali plemienne rysy, narodowość, wszystko swoje. Polska ta w pośrodku nasiąka pojęciami zachodniemi, ale ich od Polski nie przyjmują dla tego pobratymcy na wschodzie, nie urządzają się na ład ogólno europejski, bo siła wypadków popchnęła ich w innym kierunku. Jeszcze czas jakiś patrjarchalność tam się rusza i żyje, ale wkrótce się przerodzi pod naciskiem najezdców w inne formy państwowe, rozwinie się jako wolność wszędzie tłumiona, prześladowana. Przerodzi się i, pod naciskiem bizantynizmu, obcą się stanie europejskiemu życiu. Polska tę starą patrjarchalną wolność swoją, urządzi stosownie do potrzeb wieku i spraw narodowych, patrjarchalność zniknęła, ale gminy słowiańskie zostały, na nich budował się rząd inny. Wszakże tak samo urządzało się barbarzyństwo niemieckie w gminach Rzymu, swoje pojęcia urabiało nu sposób rzymski. Ziemia odmienna, chociaż pod wpływem jednych zasad cywilizacyjnych, musiała odmienne przybrać formy. U Niemców feudalizm uorganizował się, u nas wolność szlachty, która zastąpiła starodawne gminy. U Niemców nierówność towarzyska była podstawą rządu, wznosił się monarchizm, u nas królewskość z osobistą dzielnością coś znaczyła, ale była w zasadzie swojej zawsze zależną od widoków gmin, to jest szlachty. U pobratymców wschodnich będzie długi zamęt, walka wewnętrzna z naciskiem książęcym. Polska wyjdzie zwycięzko z prób i zakwitnie nareszcie jako słowiańskie państwo. Będzie pociągała ku sobie najbliższych sąsiadów, pod panowaniem Rurykowiczów zostających, i wzmógłszy się, stanie jako trzecia wielka centralizacja plemion słowiańskich i posłannictwo swoje spełni. Państwo zaś tak nazwane ruskie, Waregów, rozbije się na cząstki i nigdy się nie skupi, bo to niepodobne, rozbije się w trzy główne odłamy: w odłam polski, który wreszcie na sposób europejski urządzać się będzie pod wpływem Piastów, w odłam republikański na północy, i w odłam, w którym cześć dla monarchy stanie na równi ze czcią dla Boga. Odłam ten ostatni jeden wydzieli się jako osobna całość z grona słowiańskiego, bo słowiańskim nie był na ziemi swojej.“

Zamiast podać w streszczeniu ustęp powyższy, przepisaliśmy takowy dosłownie prawie. Uczyniliśmy to dlatego, że w nim schwytaliśmy Bartoszewicza na historyźmie istotnym. Pogląd powyżej przytoczony, jest to klucz do rozwiązania dziejowego Polski zagadnienia. Historją narodu naszego w oderwaniu, w najważniejszym onej momencie, w momencie pierwotnego państwowego kształcenia na zewnątrz i na wewnątrz, zrozumieć trudno; zastosowawszy atoli do niej metodę porównawczą, występuje ona jasno, tak jak się zawiązywała i rozwijała na gruncie, za pomocą transformacji żywiołów miejscowych, własnych, rodzimych. Bartoszewicz zrozumiał to dokładnie i, gwoli poglądu ogólnego odsunąwszy na chwilę, na stronę sympatje i uprzedzenia swoje, wytłumaczył dobrze. Dzięki mu też niech będą za ustęp ten (Tom I. str. 399—403)! Pogląd na trzy światy, będące „z sobą w związku tak ścisłym, że jeden ciągle działa na drugi“, trafnym jest i prawdziwym, a tak potrzebnym, tak koniecznym, że bez onego rozprawianie o historji Polski jest fantazjowaniem na temat ten lub ów, z punktu tego, lub innego, ale nie ze ściśle historycznego. Bartoszewicz mógł zająć stanowisko ściśle historyczne i zajmował je w poglądach ogólnych. W opowiadaniu atoli zdarzeń, w przedstawianiu sytuacji szczegółowych opuszcza wyżyny nauki, staje się stronniczym, albo wychwala nad miarę, albo też gniewa się, zrzędzi, łaje nawet niekiedy. Polskę umiłował i z miłości dla niej uczynił pryzmat, przez który zapatruje się na rzeczy i na ludzi: dostaje się też od niego tym, co pomyślnemu rozwojowi jej na poprzek stawali, mianowicie zaś Waregom, Rusom, Rurykowiczom, których stale, wedle sag, tytułuje „konungami“ i uważa za przypadkowych założycieli państwa. Zapewne — przypadkowość odegrała we względzie tym rolę ważną, ale taką samą, jaką odegrała w odniesieniu do Piastowiczów. Jak tych, tak tamtych dzielność osobista postawiła na czele państwa. I nad Dnieprem i nad Wartą długi upłynął czas, nim się dzielność owa wynalazła i na przód wypłynęła. Nad Wartą wyszła z dołu; nad Dnieprem, spadła z góry; tu była czysto narodową, tu obcą; lecz tu i tu objawiła się wartością osobistą, dzięki której zdobyła władzę i zużytkowała takową stosownie do pochodzenia własnego i do warunków miejscowych. Autor nasz w opowiadaniu wypadków nie uwzględnia tego: w oczach jego, wszystko, co robi Mieczysław I. jest zacnem i rozumnem, obmyślonem nawet, uplanowaniem na przyszłość, wszystko zaś co robi Włodzimierz I., zwany przezeń stale „Waldemarem Konungiem“, nosi na sobie cechę rozbójniczą i przewrotną.

Mieczysław według niego przyjął chrzest dobrowolnie i dobrowolnie następnie uznawał

się hołdownikiem cesarza. Dobrowolność ta podejrzaną jest wielce, wziąwszy na uwagę tę okoliczność, że cesarstwo bezpośrednio już zagrażało Polsce, ciężyło na niej: była ona instynktową bezsamowiedną, osobistą i tak mało zdającą sobie sprawę z doniosłości politycznej, jaka z niej się wysnuła, tak mało odnoszącą się do jakowejś idei państwowej, że, gdyby nie Bolesław, na pięć części za wolą Mieczysława byłaby się rozpadła kraina przezeń skupiona, której wdowa jego, w sporządzonym w Rzymie akcie darowizny na rzecz papieża, nazwać nie umiała. Mieczysław był to rozważny, ostrożny i przebiegły naczelnik skupiającego się samo przez się młodziutkiego państwa. Z naczelnictwem było mu dobrze, więc nie ryzykował się na zatargi z cesarstwem, nie odmawiając sobie wojen pomniejszych z namiestnikami cesarza, w oczach którego wojny te uchodziły za kłótnie wewnętrzne. Odegrywały tu rolę główną osobiste naczelnika interesa i widoki, które, mocą zbiegu okoliczności, będących dla państw tem, czem dla roślin są gleba, klimat i stan pogody, wiązały się z potrzebami i zadaniami wykluwającej się z jajka dziejowego Polski.

Włodzimierz także chrzest przyjął dobrowolnie — dobrowolnie tak dalece, iż, jak podanie głosi, zanim się ochrzcić kazał, wahał się długo, czyby nie lepiej było zostać wyznawcą religii żydowskiej, albo muzułmańskiej. Mało brakło — rzecz na włosku wisiała. Rozstrzygnęła fantazja księcia, czyli Konunga, jak chce Bartoszewicz. Zelanci prawosławni upatrują w tem palec Boży i interwencją Ducha św., który zesłał na Ruś „promień wiary prawdziwej“. Dla Bartoszewicza wiarą prawdziwą jest ta, którą przyjął Mieczysław. Kwestja ta historycznie rozstrzygnąć się nie da; dobrowolność wszakże Włodzimierza jest faktem historycznym, z którym obchodzić się należy z całą obserwacyjną względnością, tem bardziej, że fakt ten, jak Bartoszewicz przyznaje sam, ważne sprowadził następstwa.

Na tem kończymy rozbiór tomu pierwszego, stanowiącego w sobie całość zaokrągloną. Nie wyczerpaliśmy przedmiotu, nie wypowiedzieliśmy ani zarzutów wszystkich, ani też uznania całego, na jakie praca Bartoszewicza zasługuje. Uznanie należy mu się szczególnie za wykazywanie stosunku wzajemnego pomiędzy Polską a Rusią, stosunku zapoznawanego tak przez historyków polskich, jak przez ruskich i moskiewskich, dla przyczyn albo pozostających z historją w niezgodzie, albo zgoła niehistorycznych. W materji tej rozpiszemy się poźniej, gdy będziemy rozpatrywali tomy następne, w których uwydatnia się ona wyraźniej, aniżeli w pierwszym.

Kronika Tygodniowa.

(† Jan Działyński i Henryk Wieniawski. Usposobienie artystyczne miasta. Mindowe. Antoniusz i Kleopatra. Jonathan. »Napad na Parnas« E-le-go. Rozprawa »o żydach.« Nowa powieść angielska o Polsce. W sprawie opieki nad ubogimi.)

Znowu wymazane zostały z listy żyjących dwa imiona, z których jedno krajowi wielki pożytek, a drugie wielką sławę przynosiło. Prawie jednocześnie skonali Jan Działyński i Henryk Wieniawski. Nasi magnaci tak rzadko brali udział w cywilizacyjnym pochodzie narodu, pomimo że tak wielkie winy mają do zmazania, iż zgon takiej osobistości jak Działyński, w sile wieku, wszystkich smutkiem ogarnia. Dość o nim powiedzieć, że zamiast tracić na zagranicznym sporcie majątek, używał na cele naukowe, że pracy poważnej dawał poparcie, słowem, że za wzór wszystkim może być postawiony. Naród nie zapomni o tym ostatnim potomku Działyńskich!

W Henryku Wieniawskim straciliśmy najpierwszego z naszych wirtuozów, którzy sławę polskiej sztuki roznosili po świecie. Oby się jak najprędzej następcy doczekał!

* * *

Dziwne myśli przychodzą nam nieraz do głowy, gdy się postawimy na uboczu i przyglądać się zaczniemy umysłowemu ruchowi w naszem mieście. Wszystko idzie tu jakimś odrębnym torem. Proszę naprzykład powiedzieć, czem się Lwów właściwie interesuje? Czy sprawami gminy? Nie, bo jak wybory do Rady miejskiej wykazały, inteligencja straciła grunt przez brak zajęcia się wyborami. Zostawiła je na los szczęścia i wolę tłumu. Czy polityką szerszą? Także nie, bośmy już przywykli do tego, że przekonania mieniają się, jak barwy kameleonu. Czy sztuką? W odpowiedzi dość zaznaczyć, że o literaturze pozarogatkowej zaledwie drobna garstka wie cośkolwiek, reszta zas karmi się po większej części przemysłem domowym, o rzeźbiarstwie i malarstwie nic prawie nie słychać, powodzenie największe w teatrze mają farsy, a do najpiękniejszych i najwspanialszych muzycznych utworów zaliczają się „Kornewilskie dzwony“! Tej obojętności dla poważniejszych rzeczy mieliśmy niedawno dowód przekonywający. Przez lat wiele nie pokazała się w literaturze naszej muzycznej żadna opera. Posiłkowaliśmy się natchnieniem spiewaków z cieplejszych okolic świata. Moniuszko umarł a z nim i polska opera. Nareszcie pojawia się po tylu oczekiwaniach rzecz rokująca wielkie nadzieje.

Wszyscy mówią, piszą, czytają o tem, że Jarecki przygotował swego „Mindowę“. Już z góry, nie wchodząc wcale w ocenę wartości tego dzieła, w każdym cywilizowanem mieście, w obec tak wielkiej posuchy muzycznej, pewnem by było, że publiczność tłumnie pospieszy, aby zobaczyć chwilę przebudzenia, chwilę przełomu, chwilę wyrwania się z zastoju. Ależ gdzie tam! I na drugiem przedstawieniu zaledwie połowa teatru była zapełnioną. Na całym obszarze ziem polskich, jedyny pojawił się muzyk, który uderzył w poważniejsze struny, pojawiła się pierwsza wielka opera od lat wielu, a tu spotyka ją tak wielka obojętność, że sto razy więcej wrzawy, dysput i hałasów budzi pierwsza lepsza operetka wiedeńska. Jeśli serce twórcy nie napełni się goryczą dla kraju, i nie zniechęci się do pracy, to mieć on musi zaprawdę wielkie do swej ziemi przywiązanie!

Nie będziemy się wdawali w ocenę szczegółową samej opery, zostawiając to specjalnym krytykom. W każdym razie jedna rzecz da się o niej powiedzieć. Obiecuje niezmiernie wiele na przyszłość. Proszę pokazać choć jednego z nowoczesnych kompozytorów, któryby się mógł poszczycić *pierwszem* nowem dziełem, tyle zalet posiadającem. W Mindowem są rzeczy prawdziwie piękne, w całem tego słowa znaczeniu. Jako zasługę poczytać też musimy panu Jareckiemu, że nie poszedł wygodną a ubitą drogą przez włoskich kompozytorów, lecz że wbrew namiętnościom chwilowym tłumu, przywiązał się do nowego i poważniejszego kierunku, dopiero wywalczającego sobie uznanie. Artyści, biorący udział w operze, starali się według sił swoich podnieść piękności dzieła maestra, którego ogólnie lubią i szanują ze względu na osobiste zalety charakteru. Spiewali też doskonale. Palma pierwszeństwa dostała się p. Chodakowskiemu, który grą i spiewem stworzył przepyszną postać Mindowy, i pani Donati, która w swe efektowne ustępy potrafiła wlać wiele prawdziwego artyzmu. Całość, a szczególniej męskie chóry, zachowywały się przewybornie.

Na benefisowem przedstawieniu w sobotę wręczono maestrowi od grona tutejszych literatów, dziennikarzy i artystów *battutę*, jako upominek od tych, którzy go ocenić potrafili. Pan Zboiński odczytał śliczny wierszyk pana Tomaszewicza, który tutaj przytaczamy:

Nito gwiazdki wśród obłoków
Wśród naszej krainy,
Jawili się mistrze pędzla
Ziemi naszej syny.

Świat się patrzył na te próby
I odwracał oczy —
Aż oto zabłysnął promień
Jaśniejszy z przeźroczy...

Chwycił pędzel mistrz — i światu
Skreślił Polski dzieje,
A w nich wiarę nieugiętą
I w przyszłość nadzieję.

I nareszcie świat uwierzył
W mistrza polskiej sztuki.
Niechaj nam to dziś posłuży
Dla wiary — nauki.

Stworzył nam Moniuszko «Halkę»
Na wskróś polską — naszą,
«Straszny Dwór» — a w nim wyspiewał
Nie jedną pieśń laszą.

W dźwięku jego boskiej pieśni
Wionie polska nuta,
A tak barwna — tak rodzima,
Tak z pod serca snuta...

Obcy słucha jego pieśni —
Lecz jej nie rozumie —
I choć czarem jej owiany,
Pojąć jej nie umie...

Trudno — by ducha artysty
Zrozumieć — to trzeba
Wznieść się myślą razem z twórcą
Tam, do jego nieba!

I tyś poszedł jego śladem:
Pierś pełna miłości,
Potrąciła o zbielałe
Litwy naszej kości...

Odgrzebała w zmierzchu dziejów
Walkę, co wre jeszcze. —
Zanuciła gromkim głosem
«Nie zginęła jeszcze.»

Idź tą drogą mistrzu tonów
Za ojczystą nutą,
I nuć pieśń twoją serdeczną
Z głębi serca snutą.

Na tej drodze, jak Moniuszko,
Stawisz prawdą jasną,
Że i Polska ma operę
Rodzimą i własną.

* * *

Ładnowskiego widocznie kochają u nas bardzo, jeżeli na Antoniuszu i Kleopatrze teatr wraz z orkiestrą był przepełnionym. Taki zapał u naszej publiczności jest godnym podziwu. Przecież Szekspir nie jest imieniem tak bardzo pociągającem. My kochamy Meilhaca, uwielbiamy Labiche'a, przepadamy za Hennequinem. Ciężki Szekspir już się przeżył — toć to głos tutaj ogólny — a *vox populi, vox Dei*. Szczególne musi mieć zasługi pan Ładnowski, jeśli tak licznie w teatrze się zgromadzono. Jonathan, to mi dopiero zabawa! *Furt* mówi się o rzeczach zakazanych, *furt* cytuje się paragrafy kodeksu takie, których głośno czytać nie wolno, i najniewinniejsza pod słońcem istota, najmocniej naiwna, jeśli się tak wyrazić wolno, nauczyć się może bez matczynej pomocy wszystkich szczegółów, dotyczących pożycia małżeńskiego. A ileż tam prawdy życiowej. Zdawałoby się, żeśmy to już gdzieś, raz w życiu, słyszeli. Ten ustęp przypomina kawiarnię „pod psem", ów znowu Jacysię z za żółkiewskiej rogatki, inny znowu podsłuchaną, rozmowę w przedpokoju do piwiarni przy ulicy Łyczakowskiej. Jest w tem natura. O! jest!

* * *

Pan E ly (Asnyk), którego misterne poezje, tak gromkiem odbiły się echem w nowej literaturze naszej poetycznej, uderzył w dziwną nutę, której sobie wytłumaczyć nie możemy. W odcinku „Echa" warszawskiego podał wiersz p. t. „Napad na Parnas", z którego parę charakterystycznych wyjątków podajemy:

Dobrze było w swoim czasie
Apolina służbie głodnej,
Mieć kąt własny na Parnasie
Ciepły, suchy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu
Pod opieką muz dziewięciu,
W poetycznem zachwyceniu
Żyć po własnem wniebowzięciu.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać zdroju
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary
Lotny rumak co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny dym kadzidła.

Niezła była ta dzierżawa!
Gdy kto innych nie miał włości...
W gruncie rzeczy dym i sława
Także godne są zazdrości.

Następuje nowa epoka i przeciw wieszczom powstaje nowe pokolenie:

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział baterję,
W pękające bomby Haekla
Uzbroili artylerję;

Przypasali miecz Darwina
Mściwi, groźni i zajadli,
I do gaju Apolina
Na drzemiących wieszczów wpadli.

Na to oburzony Apollo woła, że:

...Chcąc sądzić w państwie sztuki
O fałszywej piewców nucie
Prócz rozsądku, prócz nauki
Trzeba piękna mieć poczucie.

Komu takiej braknie miary
Ten się światu nie przysłuży
Gdy poezji słodkie czary
I fantazji gmachy zburzy.

Wyście przyszli jak szkodnicy
Biorąc sobie za rzemiosło
Deptać *wszystko* bez różnicy
Co w ogrodzie mym wyrosło.

Że głodnej Appolina służbie dobrze było w swoim czasie, kiedy nic innego nie miała do roboty jak tylko spiewać, że dobrze było żyć po własnem wniebowzięciu, i że niezła była to dzierżawa, to fakt. Ależ, na Apolina! nikomu do głowy nie przychodziło deptać *wszystko* bez różnicy w ogrodzie spiewnego boga i o ile słabym naszym pozytywnym rozumem możemy sądzić, baterje dział pozytywnych, bomby Haeckla i miecz Darwina do zupełnie innych celów zostały na plac boju wyprowadzone. Że tam ktoś pragnie, aby oprócz życia po wniebowzięciu poeci zajmowali się jeszcze czemś innem, a ludzie nie samą poezją tylko żyli, toć przecie jeszcze nie jest zbrodnią obrazy apolinowego majestatu. Dawniej i E ly spiewał inaczej — przypomnieć musimy jego cudną piosnkę:

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść,
Z uporem stroić głowę.

* * *

Dnia 3. b. m. odbyła się w sądzie karnym tutejszym, jako prasowym, rozprawa publiczna w przedmiocie konfiskaty dzieła p. Teofila Merunowicza p. t. „Żydzi". Książka ta wydana nakładem Księgarni Polskiej blisko rok temu, została przez c. k. Prokuratorję Państwa w zeszłym dopiero miesiącu skonfiskowaną. P. Merunowicz i nakładcy wnieśli przeciw decyzji sądu, zatwierdzającej konfiskatę, sprzeciwienie, wskutek którego miała miejsce wspomniana rozprawa. C. k. prokuratorja zarzucała autorowi przestępstwo z art. 302 k. k., to jest pobudzanie do nienawiści przeciw *narodowości (?!)* żydowskiej, oraz z art. 300 t. j. wzniecanie pogardy przeciw władzom.

Po wymownem oskarzeniu ze strony c. k. Prokuratorji Państwa i odpowiedzi p. Merunowicza, trybunał prasowy wydał wyrok, mocą którego uwolnił zupełnie dzieło z pod zarzutu obrazy władz, paragraf zaś 302 zastosował jedynie do kilku kartek książki, które wyciąć polecił. Tym sposobem pożyteczne to dziełko ocalonem zostało, gdyż brak owych kartek nie zepsuje całości, bo zawierają one tylko cytaty z pism kilku zagranicznych pisarzy przeciw żydom. Od uchwały tej trybunału c. k. Prokuratorja wniosła rekurs do sądu wyższego.

* * *

(L.) Pojawiła się tu w handlu księgarskim powieść angielska p. t. *Blue Roses, by the author of Vera*. Przypuszczają niektórzy, że autorką jej jest pani Ł. angielka, zamężna za Polakiem, której inną powieść, p. t. *Reata: what's in a name* drukuje obecnie Blackwood's Magazine w Edymburgu. Recenzje pism angielskich o tym drugim utworze brzmią bardzo pochwalnie. *Blue Roses* (Niebieskie róże), czyli „Zamęźcie Heleny Malinowskiej" — jest to rzecz osnuta na następującym przebiegu wypadków. Księżniczka Helena Malinowska z Litwy jest marzycielką, której daremnemby było dawać białe róże, albo czerwone, t. j. takie, jakie istnieją w rzeczywistości — wszędzie i zawsze bowiem pragnie tego, czego nie ma na świecie i co być nie może. Jest niemal narzeczoną hr. Ossolińskiego, jest przytem gorącą patrjotką, ale poznaje w Karlsbadzie Anglika, Franciszka Baldwin, i widzi w nim swój ideał. Matka i brat sprzeciwiają się temu związkowi, odraczają go na lat parę. Tymczasem Baldwin wskutek śmierci brata staje się dziedzicem majątku i tytułu baroneta. Jednocześnie w Polsce zaczynają się ruchy, poprzedzające wybuch wojny 1863 r. Ossoliński rozgrzewa w Helenie ogień patrjotyzmu, na co z obawą patrzy konserwatysta Henryk, brat księżniczki, i ażeby ją ochronić od udziału w „rewolucji" sam przyspiesza jej związek z Baldwinem. Helena jedzie z mężem do Anglji i wchodzi w świat dla niej zupełnie obcy: w rodzinę ultra-torysów, patrzących ze zgrozą na powstanie „Polaków przeciw prawowitej władzy." Ztąd pierwsze źródło nieporozumień, a drugie, prozaiczniejsze, ztąd, że dochody z majątku Heleny na Litwie przestają wpływać do kieszeni pana Baldwina. Helena jest coraz bardziej rozczarowaną, jakaś cyganka plotkami jątrzy stosunek między małżeństwem, pan Baldwin odmawia żonie pieniędzy na wspieranie wychodźców, odmawia nawet swego wpływu u rządu angielskiego, za którego pośrednictwem możnaby niejednego wydrzeć ze szponów moskiewskich, i w końcu sytuacja staje się tak naprężoną, że Helena ucieka do matki, do Paryża. Tu czeka ją nędza, bo książę Henryk wyzutym został z majątku rodzinnego dlatego, że komuniści litewscy rabując i wieszając szlachtę *(sic)* pod dowództwem Balińskiego, zabrali mu konie i broń na swoje niecne cele. Cierpienia wychodźców opisane są ze współczuciem. W końcu rządca Malinowskich, Łotysz Traugott, przybywa z doniesieniem, że ocalił im majątek. (Rządca ten nb. słania się do kolan księciu i księżnej, jak gumienny.) Zapoźno — Helena umiera po nieudałej prośbie pogodzenia się z mężem. Niektóre ustępy, jak np. fałszywe położenie Polki między Anglikami tego kroju, jak rodzina Baldwinów i ich sąsiedztwo, skreślone są znakomicie — ale znajomością rzeczy polskich nie grzeszy autorka ani trochę, a fałszywem przedstawieniem szczegółów powstania szkodzi nam w opinji swego narodu.

* * *

Z powodu artykułu zamieszczonego w Nr. 13. Tygodnia p. t. „Jaką powinna być opieka nad ubogimi", odebraliśmy od osób pragnących wziąć udział w projektowanem przez nas stowarzyszeniu dla biednych — kilkanaście listów z żądaniem bliższych objaśnień i wskazówek.

Na zapytania te przyjemnie nam jest oświadczyć, że prawdopodobnie ta tak ważna dla nas sprawa nie zostanie zaniedbaną i stowarzyszenie dla ubogich wejdzie w życie, jakkolwiek w tej chwili bliższych szczegółów podać nie możemy, bo rzecz jest dopiero w samym zawiązku. Tymczasem upraszamy jedynie tych wszystkich, którzyby w jakikolwiek sposób życzyli sobie nale-

żeć do wspomnionego stowarzyszenia, o zglaszanie się do nas listowne z podaniem dokładnego adresu — my zaś, w właściwym czasie, gdy się zbierze poważna liczba ludzi dobrej woli — nie omieszkamy odezwać się i zaprosić ich do współdziałania. Upraszamy zarazem wszystkie Redakcje pism galicyjskich o powtórzenie tej naszej odezwy, dla tych zaś, którzy nie czytali naszego artykułu, dodajemy, że projektowane przez nas stowarzyszenie, ma na celu stanowcze usunięcie ulicznego żebractwa i sprawiedliwy rozdział pomocy publicznej, a to za pomocą środków wprowadzonych oddawna w życie z zupełnym skutkiem w Szwajcarji.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Świeżo ukazał się w druku siódmy tom dzieł Juljana Bartoszewicza.

Mieści on w sobie: „Szkice z czasów saskich."

*** W Gnieznie w drukarni B. J. Langiego wychodzi staraniem hr. Czarnieckiego „Herbarz polski". O tem wydawnictwie piszą pisma warszawskie: „Pierwszą i drugą część dzieła stanowią herby w rysunkach i krótkie ich opisanie z rozprawą o herbach, urzędach i stanie szlacheckim, tudzież spis kardynałów i senatorów świeckich i duchownych. Te dwie części wyszły z druku przed trzema laty Trzecią część stanowić mają rodowody rodzin szlacheckich w związku z ogólną historją krajową. Wyszły już rodowody do końca iltery D. Objęto niemi w treści to wszystko, co Niesiecki i następni genealogowie pisali, zapiski z herbarza wydawanego niegdyś przez Heroldję Królestwa Polskiego, ze spisu szlachty przez tęż Heroldję ogłaszanego, z pocztu szlachty galicyjskiej i bukowińskiej, z różnych akt dawnych grodzkich i dokumentów familijnych. Wskazane przy każdym niemal fakcie źródła dowodzą, iż autor zrozumiał swoje zadanie i stara się mu uczynić zadość."

Wspominamy o tem wydawnictwie, gdyż służyć ono może za źródło dla badaczów naszej historji.

*** Tadeusz Jerzy Stecki wydał nową monografję historyczną.

Jest to tym razem monografja Łucka, pod tytułem: „Łuck starożytny i dzisiejszy."

*** Najnowsza powieść Gustawa Aimarda „Les coupeurs de routes", przełożoną została na język polski.

*** „Gazeta Rolnicza" w Nr. 14. z r. b. zawiera: 1. Dwie uwagi przez Aleks. Trylskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem przez dra Juljusza Au. 3. Działanie roztworu siarczanu miedzi na śnieć i ziarna zbożowe przez dra Szczęsnego Kudelkę. 4. Budowa stajen z zastosowaniem do manipulacji nawozowej, zestawił M. Zajączkowski. 5. Sprawozdanie z walnego zgromadzenia Rady ogólnej Tow. Gosp. Gal. we Lwowie. 6. Listy z Poznańskiego Ryszarda. 7. Listy z Gubernji Podolskiej. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12 Odcinek zawiera: Z różnych stron świata, przez Faustyna Bicza.

*** „Łowiec", czasopismo Gal. Tow. Łowieckiego w Zeszycie kwietniowym zawiera: 1. Chart, przez Aleks. Ubysza. 2. Obrona polowania, wiersz Leopolda hr. Starzeńskiego. 3. Wspomnienie z łowów na dziki, przez Kazimierza hr. Wodzickiego. 4. Korespondencje: z Ostrowa przez Wład. hr. Baworowskiego; z Ponikwy przez Alfreda hr. Łosia; z Krasiczyna przez Kazimierza Remiszewskiego; z Pokucia przez J. B. 5. Kronika i Rozmaitości.

Nauka.

*** Słychać, iż na wniosek lekarzy krakowskich ma się odbyć w Warszawie posiedzenie psychjatrów, celem ustalenia słownictwa tej nauki: na posiedzeniu tem oprócz lekarzy mają się znajdować profesorowie uniwersytetu: Struve i dr. Julian Ochorowicz

*** Fakultet filozoficzny wrocławskiego uniwersytetu między konkursowemi zadaniami na rok 1880 ogłosił także jedno z zakresu polskiej filologii, a mianowicie „Rozbiór gramatyczny języka psałterza florjańskiego (zwanego psałterzem Małgorzaty). mianowicie wykaz właściwości samogłosek staropolskich pod względem głosowniowym. (Die Sprache des polnischen Theils des florianer Psalters soll übersichtig dargestellt werden, insbesondere sind die Vocale in ihrer Qualität und ihrem lautgesetzlichen Verhalten nach zu untersuchen.)" Konkursowe prace żądane przez uniwersytet wykonywają studenci, termin wyznaczony do stycznia 1881 roku — nagroda za najlepszą pracę 150 marek. Równocześnie fakultet filozoficzny ogłosił, że autorowi premiowanej pracy, jeżeli rozprawa kwalifikuje się na rozprawę doktorską, ofiaruje wolną doktoryzację.

*** W Berlinie w miesiącu sierpniu r. b odbędzie się niemiecka wystawa antropologiczna przedhistoryczna. Urządzoną ona zostanie z okoliczności zgromadzenia niemieckiego towarzystwa dla antropologji, etnologji i historji pierwotnej W wystawie wezmą udział wszystkie państwa niemieckie, przesyłające ze swych muzeów okazy. Komitetowi wystawy przewodniczy profesor Virchow.

Sztuki piękne.

*** W San Donato w dniach 15., 16. i 17. b.m. odbywała się licytacja galerji obrazów, która w ciągu tych trzech dni przyniosła 2,686,825 franków.

Najwyższe ceny zapłacono: za obraz Van Dyka „Portret lady Riche" 150,000 fr. — Van Ostade „Jubileusz" 145,000 fr — Rembrandta „Portret młodej dziewczyny" (pochodzący ze zbioru Pourtalés) 123,000 fr.

Teniersa płótno „Stracony syn" (należące dawniej do galerji w Escurialu) nabyto za 85,000 fr. itd.

Za obrazy malarzy nowoczesnych zapłacono najdrożej za „Napoleona w roku 1815" Horacego Verneta 6500 franków i „Portret Napoleona I" Gerarda 6000 franków.

Ostatni ten obraz nabyty został do Petersburga.

*** W Baden-Baden w dniach od 19. do 22. maja odbywać się będzie festyn muzycyny powszechnego niemieckiego towarzystwa muzycznego; przybyć ma Franciszek Liszt, który od założenia towarzystwa corocznie bierze udział w festynie.

Teatr.

*** Offenbach napisał nową trzyaktową operetę p. t. „Belle Lurette".

*** W paryzkiej wielkiej operze przedstawiono po raz pierwszy „Aidę" Verdi'ego. Operę przyjęto bardzo gorąco. Kompozytorowi, który osobiście dyrygował, wręczono wieniec złoty i lirę. Na przedstawieniu byli obecni: prezydent Grévy, Gambetta, Ferry i wiele znakomitości ze świata dyplomatycznego. Partję Aidy odspiewała Krauss, a Radamesa Maurel.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Lekcje grzeczności. Dobry przykład dają Europie Zjednoczone Stany północnej Ameryki.

Biuro szkolne (School Board) w Saint Louis postanowiło, że do zwykłego dotychczasowego programu nauk dodany zostanie wykład ustny lekcji grzeczności i przyzwoitego zachowania się.

Wskutek tej decyzji wydany został do dyrektorów szkół okólnik, polecający, aby w każdej klasie uczniowie najlepiej czytający, dwa razy w tydzień czytali kolejno głośno, pewną liczbę stronnic z napisanego „ad hoc" traktatu, poczem nauczyciel obowiązany będzie udzielać uwag i objaśnień w tym przedmiocie.

Główne rozdziały traktatu obejmują przepisy zachowania się w szkole, przy stole, w towarzystwie, dalej jest mowa o odpowiednim ubiorze, porządku, czystości i o regułach zachowania się w stosunkach z innemi osobami odpowiednio do ich stanu, wieku i wykształcenia.

Za podstawę tych traktatów przyjęto dzieło o wychowaniu Jerzego Washingtona.

Dzienniki amerykańskie jednozgodnie uznają korzystny wpływ, jakie to postanowienie wywrze niewątpliwie, mianowicie w szkołach żeńskich.

Dotychczas nie starano się w szkołach o rozwinięcie edukacji w tym kierunku, pozostawiając to wychowaniu domowemu.

Ale, jeżeli rodzice są pod tym względem tak wykształceni, jak ich dzieci, jakże będą mogli udzielać im rad, którychby sami potrzebowali?

Ta teorja wzorowego zachowania się w rozmaitych warunkach życia może wpłynąć na wykształcenie nietylko dzieci, ale i ich rodziców, bo dobry przykład nie pozostaje nigdy bez wpływu.

*** Według danych urzędowych, liczba nieuznanych kongregacyj żeńskich we Francji wynosi 602, z 14,026 sióstr; męzkie nieuznane kongregacje zakonne mieszczą 7444 braci zakonnych w 348 zakładach.

*** Jezuici budują gmachy w Caspe, w Manresa i w Calahora; książę Prastrana sprzedał im zamek w pobliżu Madrytu.

*** Mówią, iż katolicka szlachta angielska przygotowuje schronienia dla tych jezuitów, którzy Francję będą zmuszeni opuścić.

*** W Londynie w Green Park nastąpi niebawem odsłonięcie pomnika lorda Byrona; pomnik wzniesiony został ze składek publicznych.

*** Szwedzkie gazety donoszą, iż za prawo przetłomaczenia na język angielski sprawozdania z podróży profesora Nordenskiölda ofiarują mu 100,000 złr., na niemiecki 30.000 złr. i na francuski 60.000 złr.

*** „Kolej żelazna na lodzie." W końcu ubiegłego miesiąca stycznia, lokomotywa w Stanach Zjednoczonych przebyła po lodzie rzekę Św. Wawrzyńca. Przez zamarznięty ten ogromny strumień położono szyny i urządzono komunikację po lodzie dla ułatwienia przewozu z jednego brzegu na drugi.

Odkrycia i wynalazki.

*** Słynny archeolog Schlieman, jak sam donosi z Aten do dziennika „Gołos", ukończywszy poszukiwania trojańskie, powrócił w tych dniach do Grecji. Poszukiwania te trwały od r. 1870, a zatem całe lat dziesięć; i rezultaty ich były świetne. Na miejscu, gdzie była Troja, pan Schlieman odkrył szczątki miast kilku, a mianowicie: pod gruzami miasta opiewanego przez Homera okazały się ruiny innego miasta, które istniało przed Troją i było miastem indyjskiem. Wszystkie znalezione w niem wazy i inne naczynia, są zupełnie podobne do waz etruskich, przez co sprawdziła się najzupełniej tradycja zapisana przez Herodota, że Etruskowie pochodzili z Indji. Pod tem drugiem, indyjskiem miastem, znalazł p. Schlieman szczątki miasta trzeciego, a w nich dużo posągów różnych bożyszcz. Pod tem ostatniem jeszcze było miasto. Lecz najważniejszem odkryciem dla nauki były mury miasta, że tak powiemy, ostatniej formacji; popękane i okopcone dymem, świadczyły o mieście pożartem przez ogień; były to jednem słowem ruiny grodu Priama, i już nikt dzisiaj wątpić nie może o prawdzie historycznej Homera.

*** „Kometa." Telegram z obserwatorjum Kordoby w rzeczypospolitej Argentyńskiej, przysłany przez dyrektora Goulda w końcu zeszłego miesiąca, donosi o odkryciu komety, posuwającej się z południo wschodu ku północno zachodowi. Niektóre dane jej dotyczące pozwalają wnioskować, że i dla Europy będzie ona widzialną.

*** Chromo-fotografja. Jak donosi „Pol Cor.". powiodło się słynnemu fotografowi monachijskiemu, p. Albertowi, który obecnie bawi w Wiedniu i kilkoma już wynalazkami przyczynił się do rozwoju sztuki fotograficznej, świeżo znowu wynaleźć sposób zdejmowania odbić fotograficznych w naturalnych kolorach fotografowanych przedmiotów, tak, że wynalazek ten czyni zbytecznem nakładanie ręką barw na zwykłych fotografjach.

Portrety zarówno jak widoki natury i t. p. sporządzać można chromofotograficznym sposobem Alberta, a odbicia robią wrażenie najpyszniejszych akwareli.

*** W Koninie uczyniono wynalazek, który zasługuje, aby się nim zająć.

Jestto wóz samochód, pomysłu miejscowego stelmacha, niejakiego Zalewskiego.

Biedny ten człowiek kilka lat robił próby, następnie przyjął kowala, który rok cały kuł mu różne części składowe wozu; w końcu doprowadził wynalazek do tego, że dwóch ludzi bez wysilenia wiozło 15 osób (?)

Konstrukcja wozu jest bardzo prosta.

Na czterech kołach spoczywa niby szkielet powozu — ruch nadają dwa koła zębate poruszane drągami, osadzone na wspólnej osi z kołami wozu, skręt i hamulec (jak w wiatraku) dopełniają reszty.

Samochód ten obejrzeć można w fabryce Tymczewskiego w Koninie.

Podróże.

, „Badania francuskie w Afryce". Izby francuskie na wniosek p. Freycinet zawotowały summę 600,000 franków jako koszta wypraw, mających zająć się badaniem odleglejszych części Algieru i Senegalu, oraz Sahary zachodniego Sudanu. Głównem ich zadaniem jest wyznaczenie kierunku przyszłych dróg żelaznych, jakkolwiek ważniejszym stać się może wpływ ich pośredni na rozszerzenie wiedzy geograficznej. W Algierze uorganizowano trzy wyprawy naukowe; jedna z nich ma się zająć badaniem Sahary algierskiej, nie przechodaąc za El Golea; druga, złożona z inżynierów i eskorty krajowców, posunie się z Wargla na południe i przepędziwszy lato w Diebel Ahaggar, uda się przez Houssa do Sokoto i idąc w górę Nigru dojdzie do Timbuktu, zkąd wróci przez Senegal. Towarzystwo antropologiczne paryskie korzystając z upoważnienia przyłączenia do wyprawy kompetentnych osób z celem etnologicznych badań nad plemionami, z któremi ekspedycji zotknąć się przyjdzie, wyznaczyła dra Guyard naczelnikiem sztabu uczonych, jacy przyłączą się do wyprawy rządowej.

, Joens i Capello, uczeni portugalscy, wrócili w tych dniach z podróży po Afryce. Przywieźli oni obfity plon badań przyrodniczych i etnograficznych. Uczeni ci poznali w tej podróży wiele plemion murzyńskich i dotarli do źródeł rzek Quango, Kwasai i Loando.

ROZMAITOŚCI.

Intelligencja zwierząt. Jako dowód intelligencji zwierzęcej pewien obywatel szkocki podaje świeżo fakt następujący: Ma on w domu ładną kotkę pręgowaną, która nigdy nic nie ściąga z półmisków pozostawionych na stole bez dozoru. Potomek jej wszakże już nie posiada tych przymiotów i prawdopodobnie łakomstwo odziedziczył po ojcu, nawpół dzikim kocie ogrodowym. Otóż niedawno podczas familijnego śniadania, kiedy matka i syn były także w jadalnym pokoju, przyniesiono z kuchni świeżo usmażoną rybę, którą z półmiskiem postawiono tymczasowo na stoliku bocznym.

Młody kotek poczuwszy woń przyjemną, jednym zgrabnym skokiem już był na stoliku i sięgał pożądliwie po kawałek ryby, kiedy nagle usłyszano gniewne mruczenie matki, która w jednej chwili znalazła się również na stole i silnym policzkiem odpędziła kocię od półmiska, oduczając je tym sposobem za młodu od nieprzyzwoitej wady.

W Revue des cours scientifiques pomieszczony jest ciekawy odczyt p. Romanes, który mówiąc o intelligencji owadów a szczególniej pszczół, zwraca uwagę, że niektóre stawowate posiadają ją w wyższym stopniu, niż ostatnie kręgowce.

Profesor Nöbius dowiódł, że szczupakowi potrzeba trzech miesięcy do dojścia do pewnych wniosków z danych faktów. Zamknięty w wielkiem akwarjum, z początku ciągle uderzał on pyskiem o szklanną przegrodę, chcąc schwycić kiełbia umie szczonego po drugiej stronie przegrody. Potrzeba było trzech miesięcy, ażeby w mózgu jego odbyła się odpowiednia assocjacja pojęć w tym względzie; dopiero po wielokrotnem przekonaniu się o niepodobieństwie spełnienia zamiaru, zaniechał go całkowicie. Kiedy zaś następnie usunięto przegrodę, to owa assocjacja, silnie już w mózgu szczupaka utrwalona, pozostała w nim stale, bo łykając żarłocznie wszystkie inne gatunki rybek, nigdy nie brał się do kiełbi. Ztąd się pokazuje, że jeżeli szczupak bardzo powoli przychodzi do wytworzenia sobie pewnych wniosków, to za to dłużej jeszcze ich nie zapomina.

U zwierząt kręgowych wyższych, podobnie jak u człowieka, assocjacja ta pojęć stanowi podstawę psychologji. U najintelligentniejszych z nich assocjacja ta i powstające z niej wnioski odbywają się szybko, a raz utworzone są trwałemi. Sprawa ta duchowa, w granicach, w jakich się zamyka, ulega tym samym prawom, jak u człowieka.

Pomimo zdań rozmaitych, koza nie zdaje się odznaczać wielką intelligencją, na dowód tego przytaczają zdarzenie, jak ją łatwo oszukać można. Pewien nauczyciel szkółki wiejskiej w departamencie Niższej Sekwany, miał zalecone przez lekarza picie koziego mleka. Codzień więc rano żona jego doiła kupioną na ten cel kozę. Zdarzyło się wszakże, że kobieta ta musiała się na dni parę wydalić z domu. Nazajutrz rano sam pan profesor udał się ze skopkiem do stajenki. Ale koza zobaczywszy go uciekła do kąta. Wszelkie usiłowania wydojenia na nic się nie zdały i skończyły się na kilku silnych kopnięciach przez kozę. Ponieważ koza najspokojniej pani doić się dawała, nauczyciel więc użył fortelu: wdział na siebie spódnicę, chustkę i czepek żony, powrócił do stajni i tą razą wydoił bez kłopotu oszukane zwierzę.

CO ŚNIEG OPOWIADAŁ.

(OBRAZEK).

Salonik był elegancki, mały, z gustem urządzony: na kominku płonął ogień jasno.

U okna siedziała kobieta z głową opartą o obie ręce i czoło przycisnąwszy do zimnej szyby, patrzała z zadumą w szarawy zmrok...

Na dole, w ulicy, smętnie Włoch jakiś wygrywał na katarynce, a w ciszy wieczora melodja płynęła daleko, i drżała w powietrzu, jakby od zimna grudniowego.

Kobieta słuchała; duże jej czarne oczy zapatrzyły się w dal...

Na dworze śnieg padał płatkami, co kręcąc się i migocąc spadały cichutko na ziemię, a tak jakoś równo, jednostajnie, jakby do taktu muzyki i serca kobiety, które biło teraz silniej pod wrażeniem wspomnień przeszłości ..

Tak samo śnieg pruszył, gdy ona, małą, sześcioletnią dziewczynką, stała raz z ojcem na ganku wiejskiego dworu...

Dokoła było pusto, biało, cicho, a śnieżne płatki fruwały jak olbrzymie stado motyli.

Ojciec uśmiechał się do niej wesoło, widząc jak dziecięcemi oczyma ze zdziwieniem patrzała to w niebo, to na ziemię i siliła się pojąć, zkąd to i kto to sypie tyle śniegu...

Podstawił potem rękę, na którą kilka białych płatków upadło i pokazał dziecku zbliska te miniaturowe gwiazdki i kółka, mówiąc mu o kryształach lodowych, o wpływie zimna na parę wodną, o mgłach i innych pięknych rzeczach.

Dziewczynka słuchała, kiwała główką na znak zrozumienia, patrzała ojcu w oczy i uśmiechała się do niego, jakby z podziwu, że tyle wie o tem, co się tam na niebie dzieje...

Kudłaty Burek przybiegł z dziedzińca i przerwał naukową prelekcję i zaczął skakać i szczekać rozweselony, i chwytać w powietrzu śnieżne płatki — wszystko dla zabawy swej panienki.

Ojciec zrobił dużą kulę ze śniegu i rozbił ją na grzbiecie Burka, psisko udało, że żartu nie rozumie i najpocieszniejsze wyprawiało miny, a dziewczynka śmiała się, klaskała w rączki czerwone od zimna i była tak szczęśliwą, jak nigdy przedtem i... potem prawie...

Dziś, przypominając sobie te chwile — uśmiechnęła się... przez łzy.

Gdzie te czasy, ten dworek cichy pod śniegiem, gdzie ojciec?

Mogiłę jego, daleko, w rodzinnej wiosce, otuliła zima śnieżnym całunem...

Lat dziesięć, dwanaście temu, w taki sam dzień zimowy, wesoły kulig na kilkunastu saniach pędził gościńcem, wśród śmiechów, krzyków, hałasu dzwonków, trzaskania z biczy.

Śnieg padał, jak dziś dużemi płatkami...

W dużych załubniach, przy ojcu i matce siedziało dziewczątko, jak aniołek biały, zarumienione, szczebiotliwe, z czarnemi jak węgiel oczyma, otulone futerkiem i uśmiechało się tym uśmiechem wiosny dziewczęcej, w którym jeszcze wszystkie niespłoszone słowiki szesnastu lat życia dzwonią.

W saniach siedział ktoś czwarty jeszcze, jego rysy najwyraźniej dziś z ram obrazka wystąpiły przed oczyma kobiety, jego najlepiej w tej chwili pamiętała—, na tym kuligu się poznali, pierwszego walca z nim tańczyła, pierwszy raz słyszała z jego ust tyle zajmujących, pięknych rzeczy i bawiła się z nim wybornie.

Potem rozmawiali już częściej, ale coraz smutniej, aż znowu w taką samą śnieżycę on przyszedł pożegnać się na długo...

Bóg jeden wiedział, że na zawsze.

Szedł w świat szukać chleba....

Dziewczę nie mogło słowa przemówić, drżało od zimna, czy wzruszenia, rozmowa toczyła się ciężko, jak po grudzie.

Wreszcie matka wyszła z pokoju — młodzi ludzie zbliżyli się do siebie, ręka znalazła rękę, oczy zetknęły się płomieniem, i... w pożegnalnym pocałunku, krótkim jak szczęście ludzkie, dotknął on jej dziewiczych ustek pierwszy i ostatni raz w życiu...

Znowu lat kilka minęło.

Przed katedrą miejską stał szereg powozów, orszak weselny miał za chwilę wyjść z kościoła, ceremonja ślubna się skończyła.

Zima przystroiła całą ziemię w białą sukienkę, jak druchnę; — w powietrzu było niebieskawo, na niebie jasno od gwiazd, dokoła jasno od świateł.

Pannę młodą wyprowadzono z kościoła; była smutna, ale uśmiechała się z obowiązku do tych, którzy ją podziwiali, że tak piękna i do tych, którzy jej winszowali, że tak dobrze wychodzi za mąż, choć za człowieka trochę starszego, nie Apolla, ale bogatego jak Nabab...

Matka była rozpromieniona i szczęśliwą za siebie i za córkę, która dla niej udawała, że się uśmiecha odchodząc od ołtarza.

Gdy wsiadali do powozu, na biały bukiet panny młodej, nie wiedzieć zkąd, jak symbol czy przypomnienie, opadł płatek śniegu...

Nie wiedzieć zkąd, bo niebo było jasne i pogodne tego wieczoru, ludzie wróżyli dobrą przyszłość małżeństwu.

Miała łzy w oczach panna młoda i ustami drżącemi zdjęła z bukietu biały płateczek, zimny, jak ta myśl, która przez rozpaloną głowę jej teraz przemknęła na wspomnienie owej — weselnej chwili.

Na dworze śnieg pruszył i pruszył jednakowo, zmrok coraz gęściej zapadał jak w duszy biednej kobiety, dla której wszystko w przyszłości wydawało się szaro i smutno, i pusto i zimno...

Płatki śniegu fruwały w powietrzu, zdawało się jej, że wszystkie jeden po drugim padają na jej serce...

Wtem drzwi od przybocznego salonu otworzyły się z trzaskiem, struga światła buchnęła, w drzwiach stanął mężczyzna, nie Apollo, ale z wyrazu twarzy, ze złotego łańcucha i spinek brylantowych u mankietów poznać można było, iż bogaty jak Nabab...

— Cóż to? — odezwał się, przystępując do okna — zachwycasz się pani koncertem kataryniarza, jak uboga szwaczka? mamy gości, sądzę, że wypada pani domu wyjść do nich — dodał dość szorstko na końcu.

— Tak, słuchałam katarynki — szepnęła kobieta powstając z fotelu, jakby z ciężkiego snu zbudzona — i tego, co mi śnieg opowiadał...

— Proszę?!... dla rozrywki znalazłaś sobie znów śnieżne powiastki; zawsze marzycielka, zawsze niepoprawna!...

Treść Nr. 15.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.